



Z opóźnieniem odnotowujemy złoty jubileusz par. Zbawiciela na Golgocie w Detroit (Mich. USA). Nabożeństwo jubileuszowe odprawił ks. bp. Franciszek Rowiński w asyście licznych proboszczów. Uroczystość zbiegła się z radosnym faktem poświęcenia terenu pod budowę nowego kościoła (fot. archiwum)

BIURO DO SPRAW ROZWOJU GOSPODARCZEGO

Zjednoczony Kościół Chrystusa w USA powołał do życia Biuro do spraw rozwoju gospodarczego. W pracy Biura weźma udział również inne Kościoły, a mianowicie — Amerykański Konwenti Baptystów, Kościoły Chrześcijańskie (Uczniowie Chrystusa), Kościół Braci, Protestantki Kościół Episkopalny, Kościół Metodystów i Zjednoczony Kościół Prezbiteriański. Kierownikiem Biura został pastor L. Maynard Catchings, kierownik szkoły amerykańskiej w Singapurze.

Do zadań Biura należeć będzie m. in. informowanie władz kościelnych o problemach handlu światowego, o sytuacji żywnościowej i rolniczej, o problemach demograficznych i realizacji projektów gospodarczych, finansowanych przez instytucje kościelne.

Dr Ray Gibbons, dyrektor „Rady Chrześcijańskiej Akcji Społecznej”, której Biuro podlega, podkreślił, że z radością powita współpracę innych Kościołów amerykańskich w Biurze do spraw rozwoju gospodarczego.

PASTOR GRUEBER WYRÓŻNIONY

Międzynarodowa Fundacja Alberta-Schweitzera przyznała nagrodę za „humanitarną pracę” pastorowi dr H. Grueberowi z Berlina. Wręczenie nagrody nastąpiło 14 stycznia.

Niedawno królowa holenderska odznaczyła pastora Gruebera orderem komandorskim Oranje-Nassau.

POMOC DLA STUDENTÓW PROTESTANCKICH

Protestancki Związek Międzyuniwersytecki w Paryżu rozwija ożywioną pomoc dla studentów protestanckich francuskich jak i przybywających z innych krajów Europy i Ameryki. Wysiłki Związku koncentrują się na wyszukiwaniu rodzin protestanckich w Paryżu i w jego okolicach, które mogłyby przyjąć do siebie na mieszkanie i udzielić opieki studentom protestanckim oraz na organizowaniu pomocy w studiach.

ZYCIORYS KS. N. BOŃCZYKA

Ks. Bończyk był jak wiadomo poetą i obrońcą polskości na Śląsku, w latach, gdy Śląsk po-

został pod władzą Niemiec. (w. XIX). Ks. Jan Sossalla prowadzi badania nad jego życiem i działalnością.

KURSY DLA MŁODZIEŻY WIEJSKIEJ

Wychodząc z założenia, że współczesne życie na wsi ulega szczególnym przemianom i stawia młodzież wiejską wobec problemów, których nie znali ich ojcowie, Protestantki Związek Ludowy w Szwajcarii zorganizował specjalne kursy dla młodzieży wiejskiej. Program kursów obejmuje zarówno zagadnienia o charakterze ściśle zawodowym, jak i zagadnienia z dziedziny kultury ogólnej, wychowania, etyki itp. Organizatorzy kursów pragną uzupełnić wykształcenie zawodowe młodzieży oraz ukształtować jej charakter w oparciu o zasady wyznawanej religii i etyki.

WSPÓLNA PRACA EKUMENICZNA

Współpraca mężczyzn i kobiet w kościele i w społeczeństwie stanowi jeden z problemów, nad którym zastanawiać się będzie rzymskokatolicki Kongres Światowy Apostolatu Świeckich, który odbędzie się w październiku hr. w Rzymie. Jest rzeczą charakterystyczną i dawniej niespotykaną, że w komisjach przygotowawczych do Kongresu pracują jako fachowi doradcy przedstawiciele Światowej Rady Ekumenicznej.

EWANGELICY W SEJMIE BAWARSKIM

W nowym sejmie bawarskim na ogólną liczbę 204 posłów jest 35 ewangelików (w CSU — 19, w SPD — 9 i w NPD — 7), którzy podają się oficjalnie za członków Kościoła ewangelicko-luterańskiego.

ZACIEŚNIENIE WSPÓLPRACY

Sekretarz Kościoła luterańskiego w Ameryce, dr Malvin H. Lundeen został wybrany przewodniczącym „Rady Luterańskiej w USA”. Rada została wyłoniona przez największe Kościoły luterańskie w USA, które skupiają 95 proc. luteranów. Ogólna liczba luteranów w USA wynosi 9 milionów.

MISJE LUTERAŃSKIE NA TAIWANIE

Komisja światowej luterańskiej organizacji misyjnej zwróciła się do luterańskiej organizacji misyjnej w Norwegii z prośbą o kontynuowanie pracy misyjnej na Tajwanie. Organizacja norweska, na skutek pewnych nieporozumień w kierowni-

ctwie Kościoła luterańskiego na Tajwanie, postanowiła wycofać się z pracy na tym terenie.

MAŁŻEŃSTWA MIESZANE

Zagadnienie małżeństw mieszanych będzie podstawowym punktem obrad przedstawicieli Kościołów rzymskokatolickich oraz prezbiteriańskich i reformowanych w USA. Spotkanie odbędzie się w kwietniu br.

EKUMENICZNA CHOINKA NOWOROCZNA W GDAŃSKU

Tego jeszcze nigdy nie było. Nie tylko w Gdańsku, ale nawet w Warszawie, gdzie imprezy ekumeniczne mają starą tradycję. Były i są kontynuowane w Gdańsku ekumeniczne Tygodnie Modlitwy o Jedność Chrześcijan, spotkania wiernych z różnych Kościołów np. z okazji 400-lecia Biblii Brzeskiej w Kościele Reformowanym, koncerty śpiewu chóralnego w Kościele Prawosławnym, uroczystości 1000-lecia Państwa Polskiego i Chrztu Polski w Ratuszu Staromiejskim i inne, ale choinki noworoczne dla młodzieży uczącej się religii nie było. To nowość nie tylko w Gdańsku ale i w kraju.

Dla orientacji należy nadmienić, że Oddział Wojewódzki Polskiej Rady Ekumenicznej w Gdańsku prowadzi od wielu lat działalność na Wybrzeżu i skupia siedem Kościołów: Ewangelicko-Augsburski, Ewangelicko-Reformowany, Polskokatolicki, Prawosławny, Metodystyczny, Baptystów, Zjednoczony Kościół Ewangeliczny. Przewodniczącym Oddziału jest ks. dziekan Borys Szwarckopf z Kościoła Prawosławnego, wiceprzewodniczącym i delegatem Konferencji Pokojowej jest ks. kanonik Zygmunt Mędrak z Kościoła Poiskokatolickiego i sekretarzem jest ks. prezbiter Adam Piasecki z Kościoła Baptystów. Między członkami prezydium, między przedstawicielami Kościołów, reprezentantami w Oddziale i wiernymi istnieją od lat więzy szczególnej przyjaźni wydające błogosławione owoce w postaci współpracy na wielu odcinkach i zgodnego, braterskiego współżycia.

W Oddziale postanowiono zorganizować imprezę o charakterze młodzieżowym, dającą swobodę zbliżenia się i poznania młodemu pokoleniu. Powstaniu tej myśli sprzyjały święta Bożego Narodzenia. Zakupiono słodycze,

pomarańcze, jabłka, orzechy, spakowano to wszystko w torby w ilości przewidzianej rozdzielnikiem, a mianowicie po trzydzieści dla każdego Kościoła.

W dniu 3 stycznia 1967 zakupiono w Teatrze „Miniatura” we Wrzeszczu zamknięte przedstawienie sztuki Franciszka Fenikowskiego „Z IGŁY WIDŁY”. Z zainteresowaniem oglądano przedstawienie, gdyż sztuka sugestywnie przemawiała do widzów losami bohaterów na przemian to śmiesznych, to lirycznych. Po przedstawieniu jedna z pań zespołu aktorskiego przewodniczyła zabawie, w której brały udział wszystkie dzieci. Ukoronowaniem imprezy było wystąpienie Mikołaja, który z zawodu będąc aktorem po mistrzowski poprowadził jeszcze jedną zabawę, tym razem już w hallu teatru, połączoną z rozdaniem przygotowanych uprzednio paczek pod piękną choinką.

W krótkim i przystępnym dla dzieci przemówieniu przewodniczący Oddziału W. P. R. E. powiedział m. in.: „Spotkanie przy tej choince zorganizowała Polska Rada Ekumeniczna, a Radę tę tworzą Kościoły, do których w należycie. Podobnie jak wyście tutaj przyszli z ochotą, bez przymusu i widzicie w dzieciach z innych Kościołów swoich bliźnich i serdecznych kolegów, tak i wasi rodzice widzą w ludziach z innych Kościołów swoich braci z dobrego serca dążących do jedności w Bogu. Pielegnujcie i rozwijajcie tę jedność między sobą w duchu zrozumienia innych i własnych wyrzeczeń”. Nic dodać i nic ująć z tych wzniósłych słów. W duchu zrozumienia i wyrzeczeń można zorganizować nie tylko choinkę i inne imprezy, ale osiągnąć upragnioną jedność między wszystkimi chrześcijanami.

Ks. A. PIASECKI



Na okładce: „Noe rozmawia z Bogiem”

Arras z XVI w., wykonany na zamówienie króla Zygmunta Augusta dla zamku wawelskiego w Krakowie

(Arras jest to tkanina artystyczna, przeważnie o motywach figuratywnych, tkana z cienkich kolorowych nici wełnianych często z dodatkiem jedwabnych, z tych tkanin słynęło w XV i XVI w. miasto Arras we Francji)

I PRZEMIENIŁ SIĘ...

EWANGELIA

WEDŁUG ŚW. MATEUSZA (17, 1-9)

Onego czasu: Wziął Jezus Piotra i Jakuba, i Jana, brata jego i zaprowadził ich na górę wysoką na uboczu. I przemienił się przed nimi: i rozjaśniło oblicze Jego jako słońce, szaty zaś Jego stały się białe jak śnieg. I oto ukazali się im Mojżesz i Eliasz, rozmawiający z nim. A odpowiadając Piotr, rzekł do Jezusa: Panie, dobrze nam tu być; jeśli chcesz uczynimy tu trzy przybytki: Tobie jeden, Mojżeszowi jeden i Eliaszowi jeden. Gdy on to jeszcze mówił, oto obłok jasny okrył ich. I oto głos z obłoku mówiący: Ten jest Syn mój miły, w którym upodobałem sobie: Jego słuchajcie. A słysząc to uczniowie padli na oblicze swoje i zlekli się bardzo. I przystąpił Jezus, dotknął ich i rzekł im: Wstańcie, a nie lękajcie się. A podniósłszy oczy swe, nikogo nie widzieli, jeno samego Jezusa. I gdy zstępowali z góry, przykazał im Jezus, mówiąc: Nikomu nie mówcie o widzeniu, aż Syn Człowieczy zmartwychwstanie.

trzydziestoletnim życiu Jezusa mało jest zdarzeń podobnych dzisiejszemu. I nic dziwnego. Przecież On, Bóg, gdy zstąpił na ziemię i przybrał postać człowieka, postać sługi (Filip. 2, 7)

nie przyszedł, by Jemu służono, ale sam służyć przyszedł. Przyszedł w czasach wybujałej pychy, panoszącej się w życiu jednostek i całych narodów, przyszedł by ludzkość uczyć pokory. Nie moc swoją przyszedł pokazywać, ale miłosierdzie: nie uczyć nadzwyczajności, ale uświęcić codzienny szary i powszedni tryb życia. Prawda, że działy się rzeczy nadzwyczajne, bywały chwile chwały i triumfu, jak dzisiejsza, ale w ślad za nimi szły zawsze nauka i przykład pokory: „Nikommu nie powiadajcie widzenia” (Mat. 17, 9) — mówi do apostołów zstępując z góry przemienienia. I tak zawsze.

Przyjmuje hołd monarchów Wschodu w Betlejem, a potem, po akcie triumfu i wielkości, jak wygnaniec, jak nędzaryz ucieka do Egiptu. Rozmnaża chleb i karmi nim wielotysięczne rzesze, ale zaraz chroni się na samotną górę i noc całą spędza na kornej modlitwie. podczas gdy lud szuka go, by królem obwołać. Wjeżdża do stolicy w blaskach Palmowej Niedzieli wśród entuzjazzmu tłumów, pieśni i okrzyków — a w kilka dni potem, po tych samych ulicach, pozwala się wlec od sądu do sądu, ani słowa skargi nie wydając.

Dziś ludzka Jego natura jaśniej na wyżynach Taboru blaskiem bóstwa tak, że zachwyceni apostołowie wołają: „Panie, dobrze nam tu być” (Mat. 17, 4), chcieliby pozostać tak na zawsze — a jutro pójdzie na drugą górę, na Oliwną i tam w prochu korzyć się będzie przed Ojcem, na twarz padnie i prosić będzie: „jeżeli może być niech odejdzie ode mnie ten kielich” (Mat. 26, 39). Apostołowie zaś, ci sami, Piotr, Jan i Ja-

kub — jakby nieczuli na to, co się dookoła nich dzieje, posną znużeni.

Chrystus jest wielki nie tylko w chwale ale i w cierpieniu. Umieć przebaczać, to przecież cecha wielkości, a On przebaczał: jawnogrzesznicy, niewieście cudzołożnej, Piotrowi, swoim katom. Powalić jednym słowem zbrojny tłumek w Ogrójcu na ziemię, to też cecha wielkości. Tak, Chrystus jest wielki w cierpieniu i chwale! Nie tylko wtedy, gdy skinieniem ręki burzę ucisza i wiatrom nakazuje milczenie, gdy wskrzesza Łazarza i oddaje syna wdowie z Naim, lecz także wtedy, gdy głowy nie ma gdzie skłonić i czoła spoconego ochłodzić. Nie tylko wtedy jest wielki, gdy dobrą nowinę głosi, przemawiając jak nikt dotąd z ludzi, ale i wtedy, gdy cierpi bez słowa skargi, nie tylko, gdy z Mojżeszem i Eliaszem rozmawia w blaskach chwały, ale i wtedy przed Ojcem się korzy, Jego woli się poddaje. Wielki jest Bóg-Człowiek i pokorny. Nie szuka chwały świętej, ale chwały tego, który go posłał, nie swoją, ale Ojca wypełnia wolę (J. 8, 50). Przed apostołami klękać będzie i nogi im umywać. Tymi samymi rękami, którymi wszechświat dzierży — proch i błoto z nóg człowieka zgarnia. A całą tę scenę zakończy słowami: „Wy mówicie: Panie, nauczycielu — i dobrze mówicie; lecz jeżeli ja, Pan i nauczyciel wasz to uczyniłem, i wy macie czynić podobnie” (J. 13, 13).

Człowiek współczesny chętnie spogląda ku Taborowi. Nęci go ta góra swą pogodą i blaskiem, chciałby niewątpliwie tam być wraz z Janem, Piotrem i Jakubem. Kto wie, czy wcześniej niż Piotr nie zawoła: Panie, dobrze mi tu być, jeżeli pozwolisz, zostanie tu na zawsze! Lecz po Taborze przyszła góra Oliwna i jeszcze straszniejsza góra Kalwaria. Chrystus przeszedł zwycięsko przez wszystkie ziemskie szczyty. „Przykład wam dałem, abyście i wy podobnie czynili” (J. 13, 13). Tabor był potrzebny, aby

Golgota w pełniejszym wystąpiła świetle. Szczyt wielkości i szczyt poniżenia.

Wydaje się to wszystko jakieś dalekie, niedościgłe bodaj, z innego świata. Istotnie, z innego świata: ze świata Ewangelii! Człowiek radby samą żyć radością, radby ustawicznie przebywać w blaskach Taboru, szukać przyjemności i chwil pogodnych, a jednak przychodzą także chwile ciężkie, szare i znojne. — Czy wówczas podobni jesteśmy do Chrystusa, czy tak jak On wielcy, godni, szlachetni i ludzcy jesteśmy w cierpieniu?

Gdy porównujemy życie nasze i życie Chrystusa widzimy, że przemiany nam potrzeba i to przemiany gruntownej. Mamy wszyscy stać się ludem Bożym, wielkim, na wzór Chrystusa w chwale i cierpieniu. Takimi być mamy, gdy nam dobrze i gdy nam źle; gdy jesteśmy wśród swoich, wśród przyjaciół i gdy jesteśmy otoczeni wrogami i nienawiścią; gdy radość nam duszę zalewa i gdy cierpienie nas dotknie — zawsze postępować jak Chrystus — z godnością.

Bo cóż to jest wielkość? Wielkość to nie blichtr, to nie pyszałkowatość, nie samoubóstwienie, nie pochlebianie sobie. Wielkim jest Bóg, wszystko inne małe. Będzie wielkie lub małe, zależnie od tego, ile w tym szlachetności, godności, krytycyzmu, humanitarnego umysłu i podejścia. A pokora? To nie jest ani fałszywa skromność, ani pełne obłudy płaszczenie się i ustawiczne spuszczenie oczu. Poznajmy swoje stanowisko we wszechświecie, wobec Boga, bliźniego i własnego sumienia, a poznawszy to powiedzmy sobie prawdę. To prawda będzie właśnie aktem pokory, o ile będzie prawdą rzetelną, bezwzględnie szczerą.

Taka nauka płynie ze szczytu Taboru i z góry Oliwnej, nauka jak dewiza, którą musimy podjąć i realizować. A środki...?

Chrystus przemienił się w czasie modlitwy: „A gdy się modlił... przemienił się” (Mat. 17, 2). Jeżeli spostrzegamy w sobie konieczność przemiany — módlmy się. Przemiana uwarunkowana Bożą pomocą i Bożym błogosławieństwem.

Przemienienie Chrystusa domaga się z naszej strony przemienienia: niewiary w wiarę, zwątpienia w ufność, mędrkowania w pokorną uległość wobec Bożego Autorytetu. Proces przemiany musi w nas nastąpić, o ile chcemy być prawdziwymi chrześcijanami.

Ks. M. P.

L U T Y

N	19.	Konrada, Mansweta
P	20.	Leona, Ludmiły
W	21.	Feliksa, Eleonory
S	22.	Marty, Małgorzaty
C.	23.	Romany, Damiana
P	24.	Macieja, Bogusza
S	25.	Wiktora, Cezarego



Chełm jest miastem kontrastów. Obok nowoczesnych domów stoją niemal że wiejskie chałupy, na których dachach tkwią ...anteny telewizyjne. Fot CWF.

Gdzie leży Chełm? Żeby nie było niepotrzebnych domysłów od razu dodajmy, że chodzi o Chełm Lubelski. Zdawałoby się, że o odpowiedź bardzo łatwo — ktoś by nie znał pierwszej stolicy Polski Ludowej, miasta PKWN, jak często Chełm się określa. A jednak z tym położeniem Chełma nie taka prosta sprawa i na to pytanie nie byle jakie tęgie głowy nie mogą dać odpowiedzi.

Wszystko zaczęło się w poniedziałek 29 listopada 1965 r. W południe przez główną ulicę miasta, Lubelską, przejechały dwa samochody, pierwszy „ZUK”, a za nim „Warszawa”. W kilka minut po przejeździe zapadła się ulica Lubelska na szerokości całej jezdni, na odcinku 12 metrów. Tylko chodnik wisiał nad wyrwą. Najgłębsza zapadła wystąpiła przy budynku numer 34, w którym znajdowała się apteka. Władze miejskie natychmiast przeniosły zagrożoną aptekę, biuro PTTK i jedną z rodzin do innych obiektów, a ul. Lubelską zamknięto dla ruchu. Zrobiono to w samą porę, ponieważ wkrótce urwał się wiszący nad wyrwą chodnik.

Wówczas nastąpiło poruszenie w całym województwie, a największe w Chełmie. Zaczęto zastanawiać się nad przyczyną wypadku. Przyczyna okazała się prosta — cały stary Chełm, najstarsza jego dzielnica, 20 budynków, zawieszona jest nad próżnią powstałą w ziemi po wydobytej kredzie.



Jedynym zabytkiem jaki pozostał w Chełmie jest stara barokowa brama wiejska na „Górcie”. Dawniej przypuszczano, że względu na krzyż na niej umieszczony, że budowla ta była niegdyś kościołem. Fot. CWF

Teoretycznie więc całej chełmskiej Starówce grozi obsunięcie się. Zaczęto sobie przypominać legendy i opowieści zasłyszane od pradziadków na temat chełmskich podziemi. Przypomniano o istnieniu podziemnych korytarzy wydrążonych w kredzie, a liczących jakoby do 40 km długości, o skarbach ukrytych w podziemiach, których od dawna w nich poszukiwano, o złotych trumnach jakichś książąt ustawionych w kredowych salach, o tym jak podczas pierwszej wojny światowej wojsko miało w podziemiach stajnie dla koni kawaleryjskich z pełnym wyposażeniem i magazynami owsa, o chuligańskich melinach w nie kończących się labiryntach, o budynku, z którego bez trudów można wejść do korytarzy. Powtarzano domysły, zmyślenia, krążyły plotki podawane z ust do ust. W zasłyszanych w mieście sensacyjnych opowieściach były jednak wątki prawdy.

Natomiast odległość do tych zamków wynosiła po 10 km, a do Krupego aż 30 km. Podziemia frapowały władze miejskie od dawna ilekroć dawały o sobie znać jakimś ruchem ziemi, szczelinami lub zapadłościami. Jak je zabezpieczyć przed obsuwaniem się rozważano poważnie już w latach trzydziestych. Po wypadku na ul. Lubelskiej, gdzie wyrwa osiągnęła głębokość dochodzącą do 7 metrów, Prezydium MRN oraz lubelska PWRN postanowiły działać. Przed powzięciem jakiegokolwiek decyzji o zabezpieczeniu lochów trzeba było najpierw podjąć decyzję o ich dokładnym zbadaniu. Zbadanie powierzono Katedrze Architektury Politechniki Krakowskiej. Politechnika skierowała do Chełma specjalistów oraz studentów. Studenci mieli odegrać rolę grotolazów, wejść pod ziemię i zobaczyć co się pod nią kryje. Wycieczka wymagała umiejętności poruszania się w tamtejszym labiry-

CHEŁMSKI KREDOWY



W tym domu mieściła się siedziba PKWN i tu powstał „Manifest Lipcowy” Fot. CWF

Prawdą w nich było, że pod całym śródmieściem istnieją lochy i korytarze. Być może nie tak długie jak oceniano, ale bardzo stare. Ich wiekowość nie ulega wątpliwości. Chełm jest jednym z najstarszych miast polskich, prawdę mówiąc data jego założenia nie jest ustalona, jakiś pra — Chełm musiał istnieć dużo wcześniej przed zbudowaniem tu w dwunastym wieku twierdzy książąt ruskich i przez cały okres historii z czasów piastowskich był Chełm grodem granicznym, o który pierwsi Piastowie toczyli nieustannie walki z książętami halickimi, ich sprzymierzeńcami i sukcesorami. Chełm posiadał silny zamek i trzy baszty wysunięte daleko poza teren grodu, tzn. propugnaculum czyli ostrzeżenie. Z baszt strażnicy wypatrywali zbliżającego się nieprzyjaciela i alarmowali załogę zamku, a potem sami uciekali za zamkowe mury. Którędy uciekali? Otóż chyba podziemnymi korytarzami...

Niektórzy badacze historii Chełma nie wykluczają, że zamek chełmski miał nawet podziemne przejścia do Sielca, Stołpa i Krupego, gdzie znajdowały się gródki obron-

cie, mogła się okazać niebezpieczna, ale dla krakowskich grotolazów i chełmskich mieszkańców była niezwykle interesującą. Odkryto rewelacje...

Posuwanie się ekspedycji było utrudnione. Na przeszkodzie stawały zatarasowane przejścia, rozwidlające się korytarze, woda i ściany, które miejscami robiły wrażenie ulepionych z rzadkiego ciasta. Kreda o dużym stopniu zwilżenia jest materiałem, z którego zbudowane są podziemia. Nie ulega wątpliwości, że przez długie stulecia wybierano ją stąd dla różnych potrzeb. Od jak dawna — trudno określić. O dostawach kredy chełmskiej do Krakowa na cele budowlane pozostała dokumentacja historyczna dotycząca wieków średnich. Jedno jest pewne, wydobywaniem kredy musiało parć się kilka pokoleń, bo wyrobiska są bardzo rozległe. Ale zagadka nie ogranicza się do pytania, kiedy był początek wydobywania i kiedy go zaprzestano. Zagadką jest czy kredę wydobywano tylko ze względu na potrzebę jej zużycia? W podziemiach bowiem naknięto się na wielką komnatę. Ściany jej

uległy zniszczeniu, ale nie uległy zniszczeniu jej charakter nadany przez nieznanego budowniczego. Najwyraźniej zachowały się ślady architektonicznej logiki w jej budowie, wskazujące na to, że przeznaczono ją dla większej liczby osób. Pośrodku komnaty zachował się potężny filar podtrzymujący sklepienie. Filar jest kredowy, a jego średnica wynosi ponad 150 cm. Jest on nasiąknięty wodą tak bardzo, że płytka dziurę można w nim bez trudu wywiercić palcem, a przy użyciu pierwszego lepszego kija można przekuć na wylot. Odkryta komnata stała się rewelacją. Oparto na tym odkryciu przypuszczenie, iż lochy zapewne służyły komuś za podziemny pałac. Komu mogły służyć? Może Bolesławowi Chrobremu, albo Jarosławowi Mądrymu?

Labyrinty chełmskie uznano za unikat w skali europejskiej, może i światowej, bo nigdzie nie znane są podobne przypadki,

LABIRYNT

ani co do wielkości, ani co do materiału z jakiego podziemia powstały i przetrwały przez tyle lat. Po uporządkowaniu, podziemia mogą służyć jako wielce atrakcyjny obiekt turystyczny, a same badania mogą jeszcze przynieść niejedną niespodziankę.

Niebywałość podziemi, ich oryginalność turystyczna i zagadkowość dla historyków i architektów, to osobny problem, lecz najważniejsze jest, w jaki sposób je zabezpieczyć, żeby obsuwając się nie wyrządzały szkód w mieście, tym bardziej, że z powodu

dostawania się do lochów wody z zewnątrz, proces ich rozmiękczenia musi postępować.

O specjalistów do takiego zadania bardzo trudno.

Zwrócono się po radę do włoskich inżynierów, ale mimo, że podobne prace były prowadzone we Włoszech, to jednak miano do czynienia z innym materiałem aniżeli kreda. Wobec tego trudno było otrzymać odpowiedź na pytanie jak postępować w wypadku chełmskich podziemi.

Po roku rozważań są zdania, że chełmskie labyrinty trzeba albo wysuszyć, albo zasyścić. Jeśli to pierwsze, to skąd wziąć odpowiednio silne wentylatory, a jeśli to drugie, skąd wziąć tyle piasku, kamieni itp.

Tymczasem zdecydowano: dokładnie zbadać teren. Sprowadzono z Górnego Śląska zespół wiertaczy, który ma wykonać około 250 odwiertów. Po dokonaniu odwiertów stwierdzono, że korytarze mają po kilka pięter i są rozłożone na bardzo znacznym terenie. Odwiert ukazuje przekrój pionowy labyrintu, ale nie mówi o jego rozmieszczeniu poziomym. Można więc dalej snuć domysły i oczekiwać rewelacji. Nie mniej odwierty będą pierwszym etapem badań przed podjęciem dalszych decyzji. Ważna jest w tym okoliczność, że Chełm ma zapewnione środki finansowe na rozwiązanie problemu swoich podziemi, choć z góry wiadomo, że będzie na to potrzeba poważnej sumy.

Gdzie wobec tego leży Chełm? Nie można zaprzeczyć, że prawdopodobnie na miejscu jakichś historycznych wydarzeń nie odnotowanych przez dawnych historyków, a przez współczesnych nie odkrytych. Pozostaje czekać, co będzie dalej.

Oto labyrinty chełmskie — całe kilometry wykutych w kredzie korytarzy. Podanie mówi, że podziemia te prowadziły do wszystkich wież obronnych strzegących miasta. Fot. CWF



LIST DO PRZYJACIELA W USA

DROGI PRZYJACIELU

Nie wiem czy czytujesz Polonia Reporter. Jeden z moich przyjaciół amerykańskich nadesłał mi przed paru dniami wycinek z tego pisma, zawierający artykuł pt. „Rzymscy biskupi wynaradawiają Polonię”. Autor podpisany pseudonimem — M. Muskus, wedłuz informacji Redakcji — ksiądz rzymskokat. przytacza fakty, które — jak sądziłem, żyjąc za „żelazną kurtyną” — mogłyby zdarzyć się w XIX w., są powszednim zjawiskiem w znanej z rasistowskiej polityki Republice Południowej Afryki, ale które nie mogą istnieć w „wolnym świecie”. Może jestem zacofany, może nie pojmuję tendencji rozwojowych „wolnego świata”, może rzeczywiście odgradziliśmy się od tych „wspaniałych” perspektyw filozofii i praktyki, które tam się rodzą i pozwalają gnębić tych, co stanowią mniejszość, co są słabsi, gorzej przygotowani do walki... My jednak za „żelazną kurtyną” nie pojmujemy, że w drugiej połowie XIX w. Kościół — tym razem rzymskokat. — owiany duchem soborowym, może służyć polityce wynaradawiania.

Chociaż — prawdę mówiąc — prześliski tej odnowy soborowej zauważyliśmy już w przemówieniu kardynała Spellmana, o którym prasa światowa pisała, że „uraziło sumienia chrześcijan i ludzi dobrej woli”.

O czym donosi Polonia Reporter? Cytujemy:

„— Władze archidiecezji chicagowskiej mają ustaloną zasadę — wychowania polonijnych kandydatów do kapłaństwa w ten sposób, aby wstydzili się kraju swoich ojców, których po przybyciu do Ameryki nazywano „dumb Polaks”. Im mniej znają historii i mowy swoich ojców, tym lepiej..

— Nie wolno wysyłać kandydatów na kapłanów do polonijnego seminarium w Orchard Lake, aby nie nasiąkali tam duchem polskim.

— Nie wolno przyjmować wykształconych księży do pracy w archidiecezji chicagowskiej, aby nie zarazili swoją polskością innych księży polskiego pochodzenia.

— W rezultacie młodzi księża polskiego pochodzenia... wstydzą się mówić po polsku wiedząc, że kaleczenie przez nich języka razi ucho słuchacza...

— Niedługo nie będzie już parafii narodowościowych — powiedział ordynariusz chicagowski do nowo wyświęconych księży w maju 1966 r. W ślad za tą zasadą wysłano księży polskiego pochodzenia do parafii nie-polskich, a do polskich przysłano księży innych narodowości. W tym też celu usunięto piętnastu proboszczów, pionierów polskości, a zastąpiono ich młodszymi, obojętnymi na sprawy polskie.

— Dni języka polskiego są już policzone — powiedział ordynariusz diecezji Gary, Ind, klerykowi polskiego pochodzenia radząc, aby uczył się języka hiszpańskiego...

— W Miami na Florydzie Polacy starają się o pozwolenie utworzenia polonijnej parafii od przeszło dwudziestu lat...”

Tyle Polonia-Reporter.

Cóż, my znamy te sprawy. Przez całe tysiąclecie żyliśmy w sąsiedztwie z „apostolami” — pożałuj Boże, od siedmiu boleści — którzy chcieli nas ochrzcić bardziej krwią niż wodą, żeby nam pewniejsze zapewnić zbawienie, którzy język słowiański wytępilli na olbrzymich przestrzeniach rdzennych słowiańskich ziem, bo Bóg, którego głosili tylko po germańskim rozumie. Na pograniczu Prus, Pomorza i Śląska zakazywali „agitacji politycznej” w obronie języka polskiego, ale błogosławili agitację zaborczą, germańską, wynaradawiającą.

Pamiętamy — jak Carl Maria Splett modlić się po polsku w polskich kościołach zabraniał.

Pamiętamy, jak niegdyś w USA Stowarzyszenie Kapłanów Polskich kazano rozwiązać, jak irlandzko-niemiecka hierarchia lud polski wynaradawić chciała... Ale w naiwności sądziłem, że te czasy minęły...

Czas mi kończyć. Wrócimy jeszcze do tych spraw. Z niecierpliwością czekam na wiadomości.

Twój STACH



Pamiętny

dzień

„hidżry“

Oczywiście szpiedzy donieśli niebawem Korejszytom o „konszachtach” muzułmanów z jatribitami. Jakkolwiek nie znali treści układu zawartego przez Omara, domyślili się o co idzie. Wszakże muzułmanie cichaczem sprzedają swoje mienie, czasami za bezcen, i pod osłoną nocy uciekają z miasta, na jednym tylko wielbłądzie, na koniu, na osle, ze skromnym podręcznym bagażem. Zdwojona straż przy bramach miejskich niewiele może zdziałać; zawsze przetrzuci drabinę, ktoś będzie dążył do zawojowania Mekki — chociażby z zemsty. Nie wolno więc dopuścić do dalszych ucieczek muzułmanów, a przywódcę spisku trzeba jak najprędzej zgładzić. Dobrze się składa, bo Mahomet jeszcze jest w mieście! I, jak w pierwszych dniach kazań Mahometa, Korejszyci zwołują naradę. Ale nie sami. Tym razem uczestniczą w niej inne rody. Korejszyci wiedzą dobrze, po co tamtych zaprosili. Gdy który z zaproszonych zaczyna napomykać o zemście Haszimitów — szczepu Mahometa, Korejszyci wykrzykują: Nie obawiajcie się niczego, bo wszystkośmy dobrze obmyślili. Jeśli jeden człowiek zatopi sztylet w sercu tej parszywej owcy, zemsta Haszimitów spadnie na jego rodzinę. Ale jeżeli przeszyje go jednocześnie pięć czy dziesięć sztyletów? Jeśli przedstawiciele wie-

lu rodów zaatakują równocześnie i nie będzie wiadomo, czyj cios był śmiertelny? Wtedy Haszimici zrezygnują z zemsty, bo nie odważą się wystąpić przeciwko wszystkim.

— Mądrze powiedziane! — krzyknęli zebrani. — A zatem do dzieła!

Wydobyte spod płaszczy noże błysnęły w świetle zachodzącego słońca...

Zapadła noc lipcowa, na pozór spokojna. Jasny półksiężyc wysoko wznosił się nad horyzontem, oświetlając sinawym blaskiem ściany domów Mekki. Miasto spało zmęczone upalnym dniem. W głębokim cieniu pod murami, unikając księżycowego światła, przemykali się ludzie w kierunku domostwa Mahometa. Ilu ich było? Kilku, kilkunastu, może kilkudziesięciu... Ciasnym pierścieniem otaczali budynek o wygaszonych światłach — istna oblawa.

Jeden z owych ludzi oderwał się nawet od swoich i kocim ruchem wskoczył na mur okalający willę proroka, po murze przemknął ręcznie na taras i stamtąd zajrzał przez okno do wnętrza domu. Mahomet spał na sofie. W blasku księżycy widać było wyraźnie jego szaty, jego zielony turban... Zwiadowca wycofał się tą samą drogą i znalazłszy się na powrót wśród milczących postaci powiedział krótko:

— Jest, śpi tam, gdzie zwykle.

Napastnicy w oka mgnieniu wydobyli sztylety i, wyważwszy słabą furtkę, z krzykiem wdarli się do izby śpiącego. Ale można sobie wyobrazić ich zdziwienie, gdy zamiast proroka ujrzeli jego kuzyna Alego, chłopca herkulesowej siły, który przywitał ich... wyciągniętą szablą. Sapiąc z wściekłości rzucił się do ataku i zmusił rzeźmieszków do haniebnej ucieczki.

Tak, to był Ali. Jeszcze wieczorem ktoś zyczliwy ostrzegł Mahometa o planowanym zamachu na jego życie. Wypadło działać natychmiast i to działać mądrze. Abu Talib już wtedy nie żył, Mahomet mieszkał z jego synem Alim oraz z bogatym kupcem — muzułmaninem Abu Bekrem. Mądry Abu Bekr od dawna przewidywał napaść i przygotował wszystko na ten moment — kupił kilka wielbłądów, trzymał je w pogotowiu, jak również zapasy żywności i wody. Teraz, gdy przyszła alarmująca wieść, Ali przebrał się w szaty proroka, owinął głowę jego turbaniem i legł na jego sofie, w pogotowiu trzymając broń. Po co ta cała maskarada? W tym samym czasie Mahomet i Abu Bekr tylnym wyjściem wyprowadzili wielbłądy — chodziło oczywiście o to, aby jak najdłużej ludzie przeciwników łatwą „zdobyczą” i umożliwić prorokowi ucieczkę.

Legenda, która później powstała powiada, że Mahomet stał się na chwilę niewidzialny i przeszedł tuż obok niedoszłych morderców.

Zbyteczna wiara w nadzwyczajność! Mahomet nigdy nie czynił „cudów”, nie próbował nikomu wmawiać, że jest bogiem, czy choćby nawet pół-bogiem wyposażonym w nadnaturalne cechy. Gdyby spotkał któregośkolwiek z twórców owej legendy, rzekłby mu niewątpliwie kilka ostrych słów... Nie żaden cud, lecz jego własny spryt i przeczność Abu Bekra wybawiły go z opresji. Wydostawszy się z okrażeń, obaj wyjechali z miasta, ale bynajmniej nie puścili się najprostszą drogą do Jatribu, wiedzieli bowiem aż nazbyt dobrze, iż Korejszyci tamtą trasą posłają pogoń na szybkich, pustynnych

koniach. Schronili się więc w niezbyt odległej od miasta grocie i tu postanowili przeczekać do czasu, gdy ustaną poszukiwania.

Trwało to kilka dni. Syn Abu Bekra i córka Mahometa, nie mniej sprytni niż ich ojcowie, donosili do groty żywność i wodę, skoro tylko zabrane zapasy się wyczerpały. Z pobytu w kryjówce wiąże się jeszcze jedna ludowa legenda.

Otóż razu pewnego patrol Korejszytów znalazł się u samego wejścia do pieczary, gdzie siedzieli uciekinierzy. Wydawało się, że wszystko jest stracone; głosy wyszukujących żołdaków stawały się coraz wyraźniejsze. Abu Bekr zbladł z przerażenia, lecz Mahomet chwyciwszy go za ramię powiedział szeptem:

— Ufaj Allahowi, on nas obroni...

— I rzeczywiście, głosy jęły się oddalać, aż wreszcie umilkły. Wysłannicy Korejszytów zauważyli bowiem uwięte w poprzek korytarza groty gniazdo dzikich gołębi i orzekli, iż nikt tędy przechodzić nie mógł. A przecież niedawno gniazda jeszcze nie było! Tak oto dzikie ptaki, błyskawicznie budując gniazdo, miały uratować życie temu, który kochał i ludzi i zwierzęta.

Obaj wreszcie ruszyli w drogę. Jednak i teraz nie posuwali się trasą najkrótszą, lecz kluczili nieuczęszczanymi ścieżkami, wśród ostrych skał i płynnych, niebezpiecznych piasków, które potrafią wchłonąć jeźdźca wraz z wielbłądem, niby zdradliwe bagno. Po wielu trudach podróży ujrzeli w końcu przedmieścia Jatribu.

Mieszkańcy miasta spodziewali się proroka od dłuższego czasu, wiedzieli, że długo w Mekce pozostać nie może i oczekiwali go na gościńcach wjazdowych, aby mu godnie przyjąć zgotować. Mijały jednak dni i prorok się nie zjawiał — zrezygnowali więc i rozeszli się do domów. Gdy dwaj jeźdźcy przekroczyli bramę Jatribu, na ulicach nie było nikogo; nikogo prócz pewnego upartego Żyda, który postanowił czekać aż do skutku — i doczekał się. On to właśnie radosnymi okrzykami postawił Jatrib na nogi. Kto żyw, biegnij teraz witać proroka. Wiwatujący tłum prowadził go do miasta, niby niekoronowanego króla.

Był to piątek 2 lipca 622 roku naszej ery. Ale muzułmanie będą liczyć lata od tego właśnie dnia, od dnia szczęśliwego zakończenia hidżry. Był to więc rok pierwszy ery muzułmańskiej. Mahomet zostawiał za sobą trzynaście lat nocnych wizji, płomiennych przemówień, trzynaście lat przesładowań i poniżenia. Do tej chwili był pogardzanym przez jednych i uwielbianym przez drugich mówcą, był jedynie kaznodzieją, człowiekiem, który wiedział, jakie zmiany wprowadzić trzeba w życie Arabów, ale który zmian wprowadzać nie mógł, gdyż nie posiadał władzy. Co mu przyniesie przyszłość w mieście Jatrib?

Uśmiechał się do wiwatujących, ale myśli jego pracowała gorączkowo, przeczował bowiem, że triumf ten jest tylko początkiem nowego okresu w jego działaniu, kto wie, czy nie trudniejszego niż poprzedni. Ludzie jego pokroju nigdy nie spoczywają na laurach, aż do końca swoich dni nie zaznają wypoczynku, bo gigantyczne dzieło, jakie podjęli, pcha ich stale naprzód, bezlitośnie wikła w nowe walki, wysiłki i kłopoty.

M. AZEMBSKI

Fragment przygotowanej do druku powieści



Rozmyślania przy kominku

„Wszystko na swoim miejscu“*)

Zaledwie zamknęliśmy za sobą drzwi wejściowe, powiesili palta na wieszaku i pomknęli do kuchni aby pomyśleć o spóźnionym, choć dobrze zasłużonym obiedzie, gdy w progu pojawił się najmłodszy synek pana Kaleczki, wzywając nas na zebranie. Obecność była obowiązkowa i zastrzona rygorem usunięcia z sąsiedzkiej wspólnoty w razie nieusprawiedliwionego niestawienia. Nie było rady! Na latorośle pana Kaleczki nie działały żadne pochlebstwa, ani też nawet przekupstwo w postaci tabliczki czekolady. Trzeba było spieścić i pożegnać się z myślą o obiedzie.

Tu wyjaśnić należy, że nasz blok stojący nieco na uboczu poza szeregiem innych oprócz kolektywnej przynależności mieszkańców do Komitetu Blokowego, a indywidualnej do wielu różnych organizacji — szczyli się posiadaniem własnego ciała społecznego, nazwanego przez nas „Sąsiedzka Wspólnota”. Idea jakiegoś bliższego zorganizowania się powstała u nas w niedługi czas po objęciu przez lokatorów we władanie mieszkań, klatek schodowych, no i podwórka... Na jednym z pierwszych zebrań mieszkańców bloku doszliśmy jakoś wspólnie i szybko do wniosku, że przez długie lata będziemy mieszkać razem, a wobec tego wszystkim nam zależy, aby mieszkało się nam wygodnie i przyjemnie. W tym celu postanowiliśmy poznać się bliżej i działać tak, żeby każdy z nas z osobna i wszyscy razem czuli się gospodarzami naszego wspólnego domu. Na początek, postanowiliśmy nie czekając aż nasza kolej nadejdzie, sami zająć się zagospodarowaniem terenu — obsiać trawniki, postarać się o piasek do piaskownicy i ustawić drabinki i huśtawki dla dzieci. ADM i Komitet Blokowy poszedł na rękę naszej inicjatywie; otrzymaliśmy nasioną trawy i ozdobne krzewy, szybko też znalazł się sprzęt do naszego „jordanka”. Ten sukces zachęcił nas jeszcze bardziej. Każdy znalazł coś dla siebie, co mu najbardziej odpowiadało w naszej wspólnej gospodarce. Spotykaliśmy się, dyskutowaliśmy, mieszkaliśmy, a nawet dostawaliśmy czasem pochwały.

Pan Michał — nasz „gospodarz” — z upodobaniem pilnował dyscypliny i czystości. Klatki naszego domu były czyste, okna zawsze świeżo umyte, a nawet szklark miał u nas niewiele roboty, gdyż szyby tłukły się naprawdę przypadkiem, a nie skutkiem wzajemnej złościwości. Babcia Migoniowa spokojnie karmiła gołębie grochem znoszonym na wyścigi przez maluchy. Zimą wspólnie z dziećkami napełniała ziarnem i okruchami dwa karmniki i opiekowała się gromadą różnych psów i kotów, które, — jak przypuszczamy — oszukiwały ją bezczelnie udając bezpańskie, przychodziły po prostu z sąsiednich bloków. Pan Kowalik miał za to inne hobby. Zaraz po przyjściu z pracy, gdzie zajmował odpowiedzialne stanowisko głównego księgowego, zabierał się do majsterkowania. Jemu też przede wszystkim zawdzięczają nasze dzieci to, że ich urządzenia jordanowskie były zawsze w doskonałym stanie i pięknie pomalowane. To dzieci wspólnie z panem Kowalikiem zmajstrowały nasze karmniki, a później zajęły się wielką „robotą”, a mianowicie zbudowaniem tramwaju i „domku z piernika” dla najmłodszych. Fundusze na ten cel zbierano długo i przemyślnie. Zorganizowano przedstawienie przy pomocy panny Zosi — przedszkolanki, na które rodzice uroczystie zakupili bilety. Zbierano makulaturę, złom i szkło, — a uzyskane tą drogą banknoty i bilon wracały do naszego domu w postaci płyt pilśniowych, listew, dyktów i farb.

Mieliśmy tylko jeden kłopot. Latem nasze dzieci przeważnie spędzały czas na podwórzu, ale zimą było gorzej. Wolne pomieszczenie w suterenie służyło bowiem wszystkim. Było miejscem naszych sąsiedzkich spotkań, magazynem pana Kowalika, zbiornicą makulatury i złomu — a oprócz tego „świetlica” dziecięcą. Wciąż się mówiło, że trzeba zrobić wreszcie z tym porządek, — ale czas upływał i jakoś nic z tego nie wychodziło.

Aż oto pewnego dnia pan Zdrojowski pożegnał się z nami, „złożył” swe wszystkie funkcje społeczne i wyjechał na stałe do córki zamieszkałej w Krakowie. Minęło jeszcze kilka dni i oto przed nasz dom zajechała ciężarówka załadowana meblami, następnie bagażówka, i na samym końcu taksówka. Podbiegliśmy do okien, gdyż oto w ten uroczysty sposób przybywał do naszego domu nowy lokator, pan Kaleczka wraz z małżonką i czworgiem dzieci.

Pan Michał podszedł do nowego lokatora, a za nim po kolei nasze dzieciaki. „Nowy” przywitał się, rozejrzał wokoło i popatrzawszy po oknach rozpoczął opowieść o mieszkańcach swego poprzedniego domu, którzy nie tylko spakowali jego mienie, ale ponadto chcieli jechać z nim razem aby mu pomóc zainstalować się w nowym mieszkaniu. — Takie tam były więzi sąsiedzkie i organizacja — zakończył. Zawstydzeni, jeden po drugim schodziliśmy na dół i po wzajemnej prezentacji zgłaszaliśmy się do pomocy. Pan Kaleczka, jednakże, był to tytan organizacji! Nie pozwolił nam działać chaotycznie i bezładnie. Najpierw wyznaczył kilkanaście osób, które pod jego przewodem zrobiły pośpieszny szkic mieszkania i rozstawił

mebli, a następnie rozstawił nas długim wężem od samochodów aż po próg mieszkania, w którym już się krzątała specjalna Brygada „ustawiaczy” — i rozpoczęliśmy planowe, metodyczne wprowadzanie się. Wszystko przebiegało więc gładko, póki nie wydarzył się ten przykry incydent z panią adiunkt.

W naszym domu mieszka bowiem pani adiunkt z pewnego instytutu badawczego, która zajmuje się pracą naukową. Jest to szczupła, chorowita osoba, która żyje sobie cichutko, nie narzucając się nikomu, czesem tylko z jej otwartych okien dolatują dźwięki fortepianu. Latem zaś niekiedy siada na ławeczce i rozmawia z dziećmi — ale na ogół mało ją widzujemy.

Ta właśnie pani adiunkt weszła na podwórze akurat w czasie największego nasilenia akcji wprowadzania się i chciała nas minąć powiedziawszy „dzień dobry”. Pan Kaleczka jednak zastąpił jej drogę, wyciągnął rękę, przedstawił się i stwierdziwszy, że bardzo przyda się każda para rąk — błyskawicznie się odwrócił i włożył w ręce całkowicie osłupiałej, donicę z ogromną paprocią. Wtedy rozległ się huk i paproć, a właściwie jej resztki i skorupy donicy, wylądowały na chodniku. Pani adiunkt tak się zdenerwowała, że nie potrafiła nic innego z siebie wydusić oprócz pytania ile jest winna za szkodę. Ręce się jej trzęsły i sięgała do torebki, ale pan Kaleczka tylko pokręcił głową. — Tego się nie da naprawić żadną sumą. To moja ślubna paproć! — powiedział i odwrócił się do niej plecami.

Od tego dnia inne życie wkroczyło do naszego bloku. Po uporządkowaniu suterenu i zaadaptowaniu części piwnicy, otrzymaliśmy wygodne pomieszczenie, nazwane potocznie biurem pana Kaleczki. Tu zbieramy się na cotygodniowe zebrania i każdy wchodzący podpisuje się na liście obecności, którą podsuwa mu siedzący tuż przy drzwiach jeden z synów pana Kaleczki. Gdy ktoś jest nieobecny, inny członek jego rodziny wręcza pisemne usprawiedliwienie, które dołącza się do akt. Akta te pęcznieją w sposób niepokojący, gdyż zdajemy sprawozdania z naszej cotygodniowej działalności nie tylko ustnie, ale i na piśmie.

Zresztą, co tu kryć! Te nasze sprawozdania to przeważnie nieudolne usprawiedliwienia, bo choć przykro to mówić, ale nie stanęliśmy na wysokości zadania i nie dorobiliśmy do metod pana Kaleczki. Np. — taką babcia Migoniowa. Po prostu nie nadała... Miała za zadanie opiekę nad płytami i adapterem, a nawet porządnie nie potrafi wymówić nazwy pierwszej z brzegu płyty big-beatowej! Podobno nawet uczy się nocami — ale jak pan Kaleczka zacnie ją przepytwać, stanie i... ani słowa. Albo pan Kowalik, niby taki majster, kółkiem zoologicznym zająć się nie potrafił. Nawet karmniki puste! Nie mówiąc już o panu Zdzisiu i Władku. Gdy mają składać sprawozdanie, wystarczy, że pan Kaleczka rzuci okiem na jedną z szaf stojących w biurze — opartą na ceglach i z wieczniami otwartymi drzwiami — by zamilkli i tylko przestępowali z nogi na nogę!

Nawet milicja już u nas była, a jakże! I to u kogo? Nasza pani adiunkt zrobiła niezmierną awanturę i wypchnęła pana Kaleczkę za drzwi, gdy przyszedł do niej z apelem, aby pozwoliła ustawić swój fortepian na dole i uczyła jego dzieci grać.

Pan Kaleczka napisał oświadczenie piętnujące jej aspołeczne podejście, które podpisałiliśmy wszyscy. A pani adiunkt ktoś już urzeci raz wybił szybę.

Tylko pan Michał się wyłamuje. Nie przychodzi na zebrania, nie składa sprawozdań. Gorzej, — nazywa naszego pana Kaleczkę biurokrata i szkodnikiem. Niedawno nawet powiedział dzielnicowemu, że „przedtem to u nas była praca społeczna, a teraz to tylko biurokracja i własne interesy”. Pani Kaleczkowa twierdzi, że obraził się o takie głupstwo jak śmieci, które kazała mu wynosić.

Ale niektórzy nasi lokatorzy zaczynają mówić, że tu nie tylko o śmieci chodzi, i kto wie czy pan Michał nie ma racji.

HABER

*) H. Ch. Andersen „Baśnie”.





Ileż to już razy ci zbrodniarze powoływali się na boskie i ludzkie prawa. (Fot. arch.)

Obrońcy praw boskich

Gdy Hitler objął władzę w III Rzeszy, jego zwolennicy oczywiście nie bez błogosławieństwa wodza, rozpoczęli ożywioną działalność w Austrii. Chodziło po prostu o doprowadzenie do połączenia Austrii z Niemcami czyli tzw. anszlusu. W konsekwencji doszło najpierw w 1934 r. do zabójstwa kanclerza Dollfussa, a następnie do wchłonięcia Austrii i likwidacji jej samodzielności.

Sprawa była o tyle łatwiejsza, że w Austrii działała wyjątkowo silna V kolumna. Ta hitlerowska zgraja, gotowa na każde skinienie pochodzące od wodza, organizowała sabotaże, urządzała zamachy, wprowadzała nieład w życie społeczne i gospodarcze. Ta zdradziecka zgraja hitlerowców wykonywała wszystkie brudne roboty i razem z hitlerowcami z rdzennych Niemiec uczestniczyła w likwidacji Żydów, w mordach dokonywanych w obozach zagłady itp.

Ludzie spod znaku swastyki nie pozwalają i obecnie zapomnieć o sobie. Jeśli jednak ich poczynania w NRF znajdują często oddźwięk w prasie, o tyle występy hitlerowców austriackich są raczej przemilczane. Na pewno niesłusznie. Każdy tego rodzaju występ należy natychmiast napiętnować.

Działalność hitlerowców austriackich przypomniał ostatnio P. Dubiel (Tyg. Demokratyczny). Oni właśnie pod koniec ub. roku wspólnie z odwetowcami z NRF dokonali zamachów przeciwko władzom włos-

kim na terenie Górnej Adygi. Tam prowadzą nadal szczególnie ożywioną działalność zbrodniczą, dążąc do oderwania tej ziemi od Włoch.

Na terenie Austrii wychodzi dziennik reprezentujący najbardziej odwetowe, rewizjonistyczne tendencje (Salzburger Nachrichten). W dzienniku tym — w numerze świątecznym — ukazał się artykuł zastępcy redaktora naczelnego, który gwałtownie zaatakował prawa polskie do granic na Odrze i Nysie. Pan redaktor wspominał najpierw „straszna krzywdę”, jaką Niemcom wyrządził traktat wersalski (redaktor pisze — „dyktat wersalski”), a potem przechodzi do omówienia następnej krzywdy, wynikającej z umowy poczdamskiej. Red. Skrechunetz-Hillebrand nie wspomina oczywiście o krzywdach, które wyrządzali Niemcy. Naród panów — cokolwiek robi, jest to prawem, a więc nie jest przestępstwem.

P. red. Hillebrand pisze:

„...niemieckie obszary wschodnie pod tymczasowym zarządem polskim stanowią najbardziej palący i najdrażliwszy problem graniczny w obecnej Europie”.

„Wiadomo, co się stało z 10 milionami niemieckich mieszkańców, jak zostali oni wypędzeni. Czy rozwiązanie to zgodne jest z prawami ludzkimi i boskimi?”

Ileż już to razy, ci zbrodniarze, powoływali się na boskie i ludzkie prawa?



NASTĘPCY APOSTOŁÓW SŁOWIAŃSZCZYZNY



Ohrid — Monastyr św. Zofii, zbudowany w XI wieku (tot. arch.)

Po śmierci św. Metodego w 885 roku jego dzieło przejęli uczniowie: Klemens i Naum. W 10 lat później obaj zbiegli do Bułgarii, gdzie ówczesny władca Michał-Borys powierzył im pracę wśród Słowian nad jeziorem Ohrid. Jeśli wierzyć legendzie działalność nad Ohridem była bardzo owocna. Apostołowie nawrócili wielu pogan, zbudowali wiele klasztorów. Klemens został pierwszym biskupem tych obszarów (ok. 893 r.)

Klemens i Naum nauczali tylko w języku słowiańskim. W tym też języku odprawiali nabożeństwa. Biograf (Theophilactus) podkreśla świętość życia Klemensa, który naśladował we wszystkim św. Metodego.



Święty Klemens z Ohridu (Fot. arch.)

TAKA Z

Wiele jest takich parafii... Jednolita, silna, kwitnąca. Zrosnięta z plebanią, z kościołem. W tradycje i legendy bogata. Historyczne nazwiska. Historyczne dokumenty. W podziemiach kościoła trumny fundatorów. Pleśnią pokryte kamienie cmentarne w wyrytych nazwiskami, które mówią. Gdy na alleluja rozkołyszą się dzwony — to ze wszystkich stron ludu gromada wielka nadbieży. A strojne to, a harde, a niepohamowaną pobożnością prężne, że — zdawać by się mogło — każdą zaporę rozniosą, na świat szeroki pójdą i tę swoją wiarę w każde serce zaszczipią...

A między nimi ksiądz kanonik dostojny, swej siły świadom, owoce swe znający, każdej trudności umiejący zaradzić, wiedzący wszystko lepiej...

Takich parafii było wiele, ale czas przeminął i nie ma już ich. K. Kania (Kierunki, 15.1) na tle wspomnień takiej parafii, problemy parafii współczesnej wskazywać próbuje. Posłuchajmy. Sprawa aktualna i dla duszpasterzy i dla tych, którzy swoją przynależność do społeczności religijnej poważnie traktują. Zmienił się świat, a wielu ciągle tylko godzinki chciałoby śpiewać, huczne odpusty urządzać i sądzą, że to wystarczy.



Christine Rickard uczy biologii w szkole w Rowley k. Birmingham. Dziecko, niestety, trzeba zabierać ze sobą na wykłady. Chociaż mały Graham zachowuje się grzecznie, to jednak nie jest to chyba sposob, który może znaleźć powszechne zastosowanie.

Przyjechaliśmy wiosną, było pięknie.. Mieliśmy ze sobą dwa worki soli, dwa worki cukru, coś niecoś ziemniaków — oraz sto litrów wódki... Tak wspominają swoje piękne dni pionierskie pierwsi osadnicy Lubina. To „piękno” wyglądało różnie i można mieć wątpliwości, czy dni te były naprawdę piękne, chociaż we wspomnieniach zło jakoś łatwo ulega zatarciu.

Przyjechali z niczym i prawie do niczego. Czym mógł przyciągnąć ówczesny Lubin, czym mógł przyciągnąć, czym zachęcić nowych osadników, aby osiedlili się tam na stałe, aby wrosli w tę ziemię niezbyt urodzajną?

Kocie łby — to pozostałość tamtych czasów. Ale nawet te nędzne bruki chciał ktoś wyszabrować, bo Lubin był skazany na śmierć. — Sił miastotwórczych tu brak — mówiono.

Z tamtych czasów.. rudery dworca kolejowego, fabryka instrumentów lutniczych. Fabryka jak fabryka, nawet na eksport produkuje, ktoś te gitary na cały świat rozwozi, ale tu, w Lubinie, nie było komu gitarami głowy sobie zawracać, nie było komu na gitarach grać, bo do niedawna cała młodzież w świat szła. Nie było przyszłości w Lubinie. Nikt nie wierzył, że gitary ją zapewnią...

W 1951 r. było tu pięć tysięcy ludzi, w powiecie trzydzieści trzy tysiące. Ludzi mało, w domach bieda, ziemia nędzna. Nie było o co rąk założyć. Nie było komu kupować, zastój w handlu. Zwykła małomiasteczkowa bieda i stagnacja.

Aż kiedyś w 1957 r. — jeszcze śnieg leżał na polach — marzec był — coś rozbłysło pod świdrami wiertników. Nie złoto, lecz ruda miedzi — to też znalezisko nie było jakie.

I wszystko zaczęło się od tej miedzi. Wiertnicy ulokowali się w Lubinie. Biura ulokowały się w Lubinie. Robotnicy zaczęli na gwałt szukać mieszkań. Skąd ich wziąć w nędznym zrujnowanym miasteczku, które jak do niedawna wielcy spece stwierdzali „sił miastotwórczych nie posiada”?

Zaczęto więc budować domy, wznosić bloki mieszkalne. Okazało, widne, z łazienkami... Budowano i ciągle było brak. Już w 1966 r. liczba mieszkańców Lubina wynosiła ok. 20 tysięcy. Gdzie się podziały dawne „dobre” czasy, kiedy kilka chałup i willi wystarczyło dla wszystkich? A teraz? Jeszcze lat kilka i ponad pół setki tysięcy trzeba będzie pomieścić.

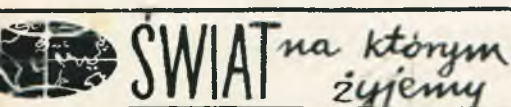
Mało tego. Ci ludzie chcą kupować. Żądają coraz więcej i coraz lepszych rzeczy. Wszystkiemu winna miedź, która ich tu przyciągnęła, która ich karmi, napycha kieszenie i kusi coraz nowych przybyszów. W 1970 r. zatrudnienie we wszystkich przedsiębiorstwach miedziowych wyniesie ponad 20 tysięcy (obecnie — 8,5 tys.). Wszyscy zechcą dobrze mieszkać, wielu zechce mieć garaże, bo przeciętne zarobki górników wynoszą 3, 5—4 tys. zł. Są i tacy, którzy osiągną 8 i więcej!

Mieszkania, kawiarnie, restauracje, hotele, dobre towary... na to wszystko czeka Lubin. I wszystko to będzie miał. Miedź jest hojna. I dobroliwsza niż złoto z Klondike.

NA POCZĄTKU BYŁY DWA WORKI SOLI...



W Lubinie powstają nowe domy mieszkalne dla górników zagłębia miedziowego. Fot. CWF



WYKŁA PARAFIA...



Formy duszpasterstwa były proste: chrzcić, błogosławić, kazać... Dziś one nie wystarczają. I nie wystarczą posagowe miny. Egipski Herhor nie zastraszyłby dziś zaćmieniem, jak to uczynił za Ramzesa. Fot. Zdzisław Wdowiński i CAF

K. Kania pisze:

„Dawna struktura parafii — i w mieście i na wsi — przeżywa kryzys... Księża nie czują się dziś najlepiej w swojej roli. Rozmawiam z nimi dużo i patrzę na ich pracę raz z podziwem, raz z pewnym niepokojem... Przepowiadanie Chrystusa, wymaganie ofiary i czystości — zawsze było trudne, nieraz mało skuteczne. Lecz my, katolicy żyjący dziś, jesteśmy materiałem szczególnie

opornym dla działalności księży. Jesteśmy na ich akcję impregnowani tym, co wydziela z siebie dzisiejszy świat. Księża mówią coraz delikatniej, słowo Boże brzmi coraz ciszej, nadprzyrodzoność wytraca rzeczywiste treści na rzecz abstrakcji. Zaś świat przy pomocy apokaliptycznej maszyny wpompowuje w nas przez wszystkie zmysły bezlitosny chaos ziemskich pragnień, nadziei i atrakcji... Księża nie potępiają kina, ani telewizji, sami korzystają z tych dobrodziejstw. Jednak chyba zdają sobie sprawę, że ich katechizacja nie może konkurować z atrakcją filmu i że młody chłopak film przeżyje, a z katechizmu nauczy się tylko paru formuł.

Co robić. Stały bezpośredni kontakt księdza z parafią. Co to znaczy z parafią. Parafia składająca się z ludzi jest ruchoma jak piasek na pustyni. Nie stoi w miejscu i wcale nie czeka na księdza...

Mój ksiądz prałat zaczyna boleśnie odczuwać swoją izolację od parafian. Wielu księży tak odczuwa. Wielu jest bezradnych, rozgoryczonych...

Sytuacja utrudnionego porozumienia się ze światem wytworzyła u dzisiejszych księży dwie niebezpieczne cechy: stan lęku i kompleks niższości z jednej strony oraz kościelną i klerykalną pewność siebie z drugiej strony. Obrażać się na zwariowany świat ma dziś ochotę pewnie każdy człowiek. Ale też każdy myślący człowiek wie, że wyprowadzić z obrażenia się na świat program postępowania może tylko ten, kto już nie ma ani niczego do stracenia, ani niczego do zdobycia...“





Cołając się hitlerowcy burzyli i pali-
li całe dzielnice miasta a w szczególności te gmachy, które swoim
istnieniem przypominały o pradaw-
nej ich polskości. (fot. arch.)

Bój

O

Cytadeli...

Wielka styczniowa ofensywa Armii Radzieckiej — z 1945 r., o której pisaliśmy już w poprzednich artykułach poświęconych wyzwoleniu Warszawy i Śląska, nie ominęła swym zasięgiem również Poznania, jednego z największych miast i ośrodków polityczno-kulturalnych zachodniej Polski. Hitlerowcy przez wiele lat germanizowali wcieloną do Rzeszy ziemię tzw. „Warthegau”, usiłując za wszelką cenę zniszczyć lub zmusić do kapitulacji miejscowy żywioł polski. Ale był to trud daremny. Mimo brutalnego terroru, masowych egzekucji, aresztowań i deportacji do obozów zagłady oraz wysiedleń, ludność polska nie miała nawet zamiaru podać się woli okupanta. Tak w samym Poznaniu, jak i jego okolicy działały, podobnie jak na pozostałych ziemiach polskich podziemne organizacje związane z AL, AK czy BCH, czekając tylko na dzień, w którym mogłyby chwycić za broń, biorąc odwet za lata poniżeń i cierpień okupacji.

Miasto-twierdza

Poznań jednakże był nie tylko miastem polskim, czekającym na wyzwolicieli, ale także ważnym strategicznie punktem oporu Niemców. „Miastem twierdzą”, które w planach hitlerowskiej obrony, odegrać miało ważną rolę w powstrzymaniu natarcia radzieckiego w kierunku Odry i Berlina. Centrum „twierdzy Poznań” stanowiła poznańska Cytadela zbudowana jeszcze za czasów kiedy to miasto wraz z całą Wielkopolską znajdowało się w granicach zaboru pruskiego. Zaryte głęboko w ziemię wielokondygnacyjne kazamaty Cytadeli połączone ze sobą całym systemem podziemnych chodników i korytarzy, zajmowały ogółem obszar ponad 200 ha. Znaczenie bojowe tego całego obiektu podnosiły znacznie, zbudowane również pod ziemią, wielkie magazyny amunicji i żywności, zbiorniki paliwa, szpitale polowe i elektroownie. A wszystko to uzupełniono następnie odpowiednią silną artylerią forteczną, wzmocnioną licznymi gniazdami broni maszynowej. Taka była Cytadela poznańska już za czasów Wilhelma II i Hindenburga, ale prawdziwie nowoczesną potężną twierdzą stała się dopiero w latach 1943-1944 kiedy to na osobisty rozkaz Hitlera została odpowiednio zmodernizowana i rozbudowana, a co więcej uzupełniona całym systemem umocnień polowych. Odpowiednio silna radiostacja zapewniała jej stałą łączność radiową z najdalszym nawet zapieczę-

z gęste pola minowe, linie zasieków oraz rowów i zapór przeciwczołgowych wzmocniały znacznie obronność poznańskiej Cytadeli, najeżonej teraz zielejącymi na wszystkie strony, lufami dział różnego kalibru jak też stanowiskami ciężkich karabinów maszynowych. Pogłębione przez saperów fosy utrudniały poważnie dostęp do murów obronnych. Ośrodkiem obrony stała się stara część Cytadeli wzmocniona nowymi żelbetowymi schronami, wzniesiona niegdyś na wzgórzu canającym nad północną częścią miasta. To centrum obronne uzupełnione zostało z czasem zewnętrznym pierścieniem umocnień, opasującym miasto w odległości około 5—8 km od centrum twierdzy, a złożonym z 18 głównych fortów oraz mniejszym pierścieniem wewnętrznym złożonym z 4 fortów, usytuowanych już w samym mieście. W celu podniesienia stanu obronności twierdzy hitlerowcy zbudowali tu cały system nowych umocnień łączących forty obu pierścieni, umocnień złożonych sponad 56 żelbetowych schronów bojowych i bunkrów, wyposażonych w szybkostrzelne działa i ciężką broń maszynową. Cały ten system obronny uzupełniły linie okopów, tranzei i rowów przeciwczołgowych. W małe twierdze przekształcono też wiele budynków mieszkalnych i fabrycznych o żelbetowych konstrukcjach. Na ulicach, a zwłaszcza ważniejszych skrzyżowaniach wzniesiono barykady.

Przez wieki lat militarizm pruski, a następnie hitlerowski wznosił mury obronne poznańskiej twierdzy, i właśnie teraz w styczniu 1945 r. zdać miała ona swój bojowy egzamin. Licząca ponad 45 000 żołnierzy i oficerów załoga „twierdzy Poznań” otrzymała bezwzględny rozkaz samego Hitlera utrzymania miasta za wszelką cenę — w celu osłony kierunku Odra — Berlin, rozkaz walki do ostatniego naboju i ostatniego człowieka. Rozkaz ten wykonać mieli: ostatni komendant wojskowy „twierdzy Poznań” gen. Mattern i SS-Standartenführer (stopień w wojskach SS, odpowiednik pułkownika) Honell. Jądro bojowe załogi „Festung Posen” stanowiły oddziały słuchaczy szkół oficerskich Wehrmachtu oraz żołnierze Waffen SS. Nie trzeba dodawać jaką groźbę dla miasta krył w sobie rozkaz obrony Poznania do końca w celu zagrozenia Armii Czerwonej dalszej drogi ku Odrze i Berlinowi.

Wojska radzieckie zbliżyły się tymczasem do bram Poznania. Pod miasto zaś podeszły oddziały słynnej 8 gwardyjskiej armii gen. Czujkowa, współdziałające w boju o Poznań

z jednostkami 69 armii gen Kołpakczy. Wojska te już w dniu 26 stycznia 1945 r. po oparowaniu Mosiny rozpoczęły bój o miasto. Plan wyzwolenia Poznania opracowany przez radzieckie naczelné dowództwo, przewidywał, po okrążeniu miasta w pierwszym etapie boju, przełamanie zewnętrznego pierścienia obrony wroga i wdarcie się w głąb miasta-twierdzy. W drugiej fazie walki dokonano miano zniszczenia hitlerowskiego garnizonu lub też zmusić go do kapitulacji.

Z chwilą rozpoczęcia się styczniowej ofensywy radzieckiej nad Wisłą, Niemcy ukończyli ostatnie przygotowania do obrony twierdzy poznańskiej. Wróg z niepokojem śledził postępy szybkiego marszu Armii Czerwonej, ale nie mniej bał się stutysięcznej rzeszy polskiej ludności miasta. 21 stycznia na murach Poznania ukazuje się obwieszczenie gen. Matterna nakazujące ludności polskiej natychmiastowe opuszczenie miasta. Mimo powtórzenia tego nakazu, prawdziwi gospodarze grodu nad Wartą nie usłuchali wezwania okupanta postanawiając oczekiwać wyzwolicieli na miejscu. Hitlerowcy byli bezsilni. Co prawda wciąż jeszcze szalały w mieście ich plutony egzekucyjne, i wciąż jeszcze w wiezieniach gestapo w tzw. „Domu Żołnierza” przy ul. Młyńskiej oraz w obozie koncentracyjnym w Zabikowie ginęli masowo Polacy, ale na generalne rozprawienie się z polskim żywiołem miasta, Niemcy nie mieli już ani siły, ani czasu.

Szturm

W dniu 23 stycznia czołgi radzieckie rozpoczynają szturm miasta. Już w pierwszym dniu walki, wojska radzieckie przełamują w wielu punktach zewnętrzną pierścioną obronę niemiecką, zdobywając szereg kluczowych fortów. Teraz zacięty bój przenosi się na ulice samego miasta. Natarcie radzieckie szło tu głównie od zachodu i południowego zachodu na Górczyn i od południa na Dębiec i rejon Dworca Głównego. Hitlerowska załoga Poznania stawiała rozpaczliwy opór nie zdając sobie sprawy ze swej beznadziejnej sytuacji jak również w obawie przed represjami wobec jej rodzin w razie złożenia broni, zapowiedzianych w specjalnym a przekazanym drogą radiową, rozkazie gen. Guderiana.

Z chwilą przeniesienia się walk na ulice miasta przed nacierającymi stanął poważny problem takiego pokierowania rozwojem działań wojennych, który pozwoliłby na oszczędzenie Poznaniowi w miarę możliwości zniszczeń i zbędnych strat. Stąd rozkazy generałów Czujkowa i Kołpakczy nakazujące ograniczenie do niezbędnego minimum użycia w walkach ulicznych artylerii, czołgów i lotnictwa. Mimo tego rodzaju utrudnień, żołnierze radzieccy torowali sobie drogę naprzód, głównie przy wsparciu ciężkiej i lekkiej broni maszynowej, w przeciwieństwie do wroga, który nie zawahał się ustawić swych dział w wielu kościołach nie wyłączając historycznej Katedry poznańskiej. W pierwszym dniu walki wojska radzieckie zdobywają stację kolejową Poznań-Górczyn, a 24 stycznia Rynek Łazarzski. Po kilku dniach zaciętego boju żołnierze Armii Czerwonej oprowadzają poznańskie warsztaty kolejowe i słynne Zakłady Cegielskiego oraz parowozownię. Nieco później oczyszczony zostaje z oddziałów wroga: Plac Bernardyński i dalsze dzielnice miasta — Łazarz, Jeżyce i Ostrobróg. W toku zażartych bojów ulicznych obfitujących w nieustanne starcia wręcz, Niemcy odrzuceni zostają ku murom Starego Miasta i bezpośrednio samej już Cytadeli.

Na wyzwolonych ulicach miasta ludność Poznania nie bacząc na wciąż jeszcze groźny i niebezpieczny ogień wroga, gorąco witała wyzwolicieli. W mieście tworzyła się polska władza i administracja, formowały się pierwsze oddziały Milicji Obywatelskiej. Ale poznaniacy nie mieli wcale zamiaru ograniczać swej radości z wyzwolenia do biernej manifestacji uczuć. Chcieli walczyć, pragnęli sami wziąć bezpośredni udział w całkowitym oczyszczeniu miasta z wojsk hitlerowskich. Masowo zgłaszają się więc do jednostek radzieckich, przeprowadzając nacierających żołnierzy na tyły wroga, sobie tylko znanymi drogami, wskazując cele ataku, po-

magają likwidować punkty ogniowe nieprzyjaciela. Poznaniakom wkrótce i to nie wystarczy. W ostatnich dniach stycznia w wyzwoleńskich dzielnicach miasta zaczynają formować się pierwsze drużyny ochotnicze, które po uzbrojeniu ich przez wojska radzieckie w karabiny i broń maszynową oraz granaty ręczne i sprzęt przeciwpancerny, ruszają do boju u boku żołnierzy Armii Czerwonej, biorąc odtąd aktywny udział w walkach ulicznych.

A walki wciąż nie ustawały. Wróg ponaglany rozkazami radiowymi Berlina bronił się zjadale. Dopiero 14 lutego wojska radzieckie i współdziałające z nimi polskie drużyny ochotnicze mogły rozpocząć generalny szturm poznańskiej Starówki, który w dniu 17 lutego doprowadził do wyzwolenia całego miasta z wyjątkiem samej Cytadeli, gdzie zamknął się teraz hitlerowski garnizon Poznania. Sytuacja Niemców była już całkowicie beznadziejna. Zdawał sobie z tego doskonale sprawę również dowódca garnizonu gen. Mattern, wysuwając nieśmiało sugestię kapitulacji. Ale Berlin raz jeszcze powiedział zdecydowanie — Nie! Chcąc zapewnić sobie właściwe wykonanie swych równie bezwzględnych co i bezmyślnych rozkazów naczelne dowództwo hitlerowskie oddaje komendę nad Cytadelą poznańską w ręce pika SS Honella.

A tymczasem w dniach 21 i 22 lutego wojska radzieckie, wspierane przez poznańskie drużyny ochotnicze w sile około 2000 ludzi oraz przybyłe na plac boju pierwsze regularne oddziały Ludowego Wojska Polskiego (baterie z 4 dywizji p-lot i batalion piechoty 35 pp kpt Świerczewskiego) ruszyły do generalnego szturmu na Cytadelę. Natarcie szło niemal że ze wszystkich stron, rozwijając się jednocześnie z rejonu ulic Szelałowskiej i Naramowickiej oraz cmentarza pod Stokami. Z rejonu Placu Wilsona i Dworca Głównego były w Cytadelę działa polskie i radzieckie. Szczególnie ważne zadanie przypadło w udziale polskiemu bateriom p-lot w związku z nocnymi nalotami Luftwaffe na Poznań, w czasie których piloci hitlerowscy dokonywali rzutów z zaopatrzeniem dla broniącego się wciąż jeszcze garnizonu twierdzy.

Ostatnie chwile

Mijały godziny, a z każdą z nich bój stawał się coraz to bardziej zacięty. Nad Cytadelą i wokół niej rozszalało się istne piekło. Pod morderczym ogniem wroga budowano przejścia przez fosy, aby w ten sposób umożliwić bezpośrednie wprowadzenie do wałki czołgów i artylerii. Obsuwano ziemię, rzucono belki i pnie drzew oraz kamienie i

plyty chodnikowe. Po tych prowizorycznych „mostach” wdarły się w głąb Cytadeli radzieckie czołgi, przeciągnięto też działa, z których można było teraz prowadzić bezpośredni ogień wprost na pozycje nieprzyjaciela. Co chwila rozlegał się huk eksplozji podłożonego materiału wybuchowego, którym kruszono mury starej twierdzy. Do otworów strzelniczych kazamat i bunkrów, oraz wybitych celnymi pociskami wylotów w murze wlewano płonąca benzyna. Wszystkie tonęło tu w morzu ognia i gęstego czarnego dymu, w huku i nieustannym loskocie zjadłej kanonady. 23 lutego bój toczył się już w środku Cytadeli. Odparty zostaje rozpaczliwy kontratak hitlerowskich czołgów. Walka przenosiła się stopniowo w rejon bezpośrednich wejść do podziemi twierdzy, tocząc się już o poszczególne korytarze i przejścia łącznikowe oraz odizolowane od siebie forty i bunkry.

I wreszcie nadszedł koniec. 23 lutego 1945 roku. Niemcy składają broń. SS-Standartenführer Honell popełnia samobójstwo, oddając przedtem dowództwo w ręce gen. Matterna, który wydaje rozkaz zakończenia bezmyślnego przelewu krwi. Nad dymiącymi gruzami poznańskiej Cytadeli zatknęto czerwone i białoczerwone sztandary. Poznań był już wolny.

FRANCISZEK BERNAŚ



Niegościnnie wybrzeże

Przedzierali się przez wysokie krzewy, porastające wzgórze. Dążyli do morza głębokim łukiem, odchodząc daleko od drogi ich kłeski. Ze spiekłymi wargami szli bez słowa uparcie naprzód i naprzód w kierunku zbawczego morza. Czy aby nie są wciąż za blisko straszliwej wioski? — Spokój, przyjacielu Pizarro — doświadczenie Ojedy ma moc przekonującą. — Indianie nigdy nocą działań nie prowadzą.

Ojeda się nie myli. Już dawno nikt nie idzie tropem zbiegów. Noc bowiem jest duchów i mar złą porą. O północy biali stanęli wreszcie na garbie wzgórza. W księżycowym blasku przed nimi mieniła się srebrzyście roztocz wody. Morze. Byli uratowani.

Z siedemdziesięcioosobowej ekspedycji na Calamar ocalało ich tylko dwóch. Wybrzeże okazało się zbyt niegościnnie, aby kusić się o stały pobyt.

Flotylla kieruje się więc do zatoki Uraba. Wprawdzie i tu nie lepiej się powodzi. Znów dochodzi do starć z groźnymi tubylcami. Znów padają zabici. Na nic się nie zdają próby nawiązania przyjaźni z okolicznymi sąsiadami. Najpotężniejszy z miejscowych kacyków Tiripi nie chce mieć nic wspólnego z białymi. Tajemniczą pocztą indiańską doszły go już wiadomości o okrutnej odwetowej rzezi i spaleniu Calamaru. Bez zabezpieczonego zaplecza dostarczającego żywność nie ma szans utrzymania kolonii na wybrzeżu, malarycznym i niezdrowym, gdzie trudno nie tylko o żywność, lecz nawet o dobrą wodę do picia.

Ojeda jest człowiekiem ryzyka i zuchwałej inicjatywy. Przed laty dokonał brawurowego wyczynu, porwijąc męznego kacyka Cainabo w biały dzień z jego własnej stoli-

cy. Spróbuje teraz podobnego środka. Ale rzadko udaje się dwa razy to samo. Śmiały rajd Ojedy kończy się tylko pojmaniem żony wodza, sam Tiripi uszedł. Mając jednak w ręku takiego zakładnika, Ojeda jest pewien, że uda mu się nawiązać pertraktację z naczelnikiem. Rzeczywiście, niebawem w Carobana — tubylcza nazwa miejsca wylądowania Hiszpanów — zjawiają się posłowie indiańscy. Tiripi jest gotów zawrzeć układ przyjaźni. Ojeda jest ostrożny, nie dowierza naczelnikowi, zleca więc Pizarrowi czujną straż nad fortem, a sam z dziesiątką co największych śmiatków rusza na spotkanie z Tiripim.

Pizarro w ten sposób awansuje do roli zastępcy szefa ekspedycji, zajmując po raz pierwszy oficierskie stanowisko w mało jak dotąd błyskotliwej karierze w Nowym Świecie. Lechce to mile ambicją marzącego w skrytości ducha o nierównie wyższych zaszczytach Estremadurczyka. Ma wreszcie pierwszy raz w życiu okazję wydawać rozkazy. Jednakże niewiele mu na to czasu stanie, bo ledwie w godzinę od odejścia Ojedy, trzech Hiszpanów wraca z głośną wrzawą. Jedno powtarza się tu słowo — krzyk:

— Cyrulika!

Ojeda ma twarz zlaną potem. Rzuca się na ziemię. Rozrywa pantalon. Na udzie widnieje niewielka słabo krwawiąca ranka.

Cyrulik pochyla się nad rannym.

— Szarpi — zwraca się do pomocnika.

— Głupie bydlę — głos Ojedy chłostę jak szpicruta — nie szarpi, wyżęgać, natychmiast wyżęgać!

Medyki, mizerny i podstarzały chłopina, wrzusza ramionami i cofa się.

Alonso podnosi się na łokciach. Syczy:

— Ty teraz żelazem wypalisz mi ranę. Jeżeli nie umiesz, starczy mi jeszcze życia, by cię zobaczyć dyndającego na szubienicy, rozumiesz?

Spiesz się. Sześciu silnego chłopca do mnie! Żelazny pręt robi się w ogniu różowy, a potem oślepiąco biały. Dwanaście mocnych ramion przytłacza ciało dowódcy do ziemi. Rozpalony pręt drży w ręku cyrulika. Konwał pochyla się nad Ojeda. W nozdrza uderza lekki swąd sparszonej skóry. Zęby Alonsa wbijają się w dolną wargę. Na czubku kołysz się duża bańka potu. Stalowy uścisk rąk zelżał. Zwolniona chora noga kurczowym ruchem napina się w kolanie. Ojeda prawie krzyczy:

— Jeszcze raz, głębiej. Nuże! — i za chwilę traci przytomność.

Ale ratuje życie. Przez wiele dni wprawdzie musi pilnować łoża, lecz wreszcie wraca do dawnych sił. W czasie jego rekonwalescencji Pizarro obejmuje faktyczną komendę nad kolonią. Ma pełne ręce roboty, bowiem Tiripi podburzył okoliczne plemiona i fort musi ustawicznie odpierać ataki Indian. Nie mija dzień bez strat w ludziach, w których razem ze zdradzieckimi strzałami szczyrby czynią głód i choroby... Z bagiennych grzęzawisk miazmaty febrzy i malarii atakują załogę nie z mniejszym powodzeniem, niż czynią to wojownicy Tiripiego. Z każdym dniem nowe koślawe krzyże znaczą żalobnie miejsca zmarnowanych nadziei, pogrzebanych snów o łatwym bogactwie. Żołnierze szemrzą, chcą wracać, przecież w odwodzie mają statki. Żelazna wola Ojedy i Pizarra utrzymuje w ryzach bandę zrozpaczonych awanturników. W osadzie wyrasta szubienica. Przez parę dni chwieją się na niej zwłoki prowodyrów buntu. Drapieżne ptactwo obsiada nikczemne resztki wczorajszych junaków. Niejeden przybój morski rozbija się o brzegi Carobana, zanim wreszcie przegniłe powrozy zwolnią ciężar i oddadzą ziemi niemal do kości objedzone trupę.

Kolonia już się nie burzy. Ludzie milczą. Wychudłe z głodu twarze przyjmują maskę uległej zaciętości. W wolne od walki i pogoni za jadem chwile — jest ich niewiele — oczy konkwistadorów kierują się ku morzu. Także Ojeda coraz częściej i niecierpliwiej spogląda w tę stronę. Dowódca wie, że to jest jego ostatnia już szansa. Jeżeli tym razem mu się nie uda, nigdy więcej nie otrzyma patentu królewskiego. Jego współnik, Enciso, dawno już powinien być tu z odwodami.

W.K. OSTERLOFF

(cd. w następnym numerze)

PRAWO W RODZINIE

Od dnia 1 stycznia 1965 r. wszedł w życie nowy Kodeks Rodzinny i Opiekuńczy.

Główne zasady tego doniosłego aktu prawnego wynikają z założeń Konstytucji Polskiej Rzeczypospolitej Ludowej. Podstawowymi zasadami określającymi i kształtującymi model rodziny i małżeństwa są: zasada trwałości małżeństwa, zasada monogamii, zasada świeckości małżeństwa, zasada równouprawnienia małżonków, zasada równouprawnienia dziecka pozamałżeńskiego z dzieckiem z małżeństwa.

Zasada trwałości małżeństwa wynika z jego społecznego celu. A cel ten jest doniosły. Rodzina w naszym społeczeństwie wypełnia bardzo ważne funkcje. Jest podstawową komórką, która poza biologicznym i ekonomicznym celem, spełnia przede wszystkim cel wychowawczy przygotowując dziecko do samodzielnego życia w społeczeństwie.

Na to, by małżeństwo mogło należycie spełniać swe zadania musi ono być małżeństwem trwałym. Dlatego też Polska Ludowa udziela rodzinie daleko idącej opieki i poparcia. sta-

nowiać w art. 67 ust. 1 pkt. 1 Konstytucji: „Małżeństwo i rodzina znajdują się pod opieką i ochroną Polskiej Rzeczypospolitej Ludowej. Rodziny o licznym potomstwie państwo otacza szczególną troską”.

Zasadzie trwałości małżeństwa podporządkowane też są prawa i obowiązki małżonków, zmierzające do jak najtrwalszego zespolenia rodziny.

Nie należy jednak przymykać oczu na społecznie negatywne zjawiska, jakimi są martwe — istniejące tylko formalnie — związki małżeńskie.

Problem ten ilustruje uchwała całej Izby Cywilnej Sądu Najwyższego z 26.IV.52 r. poświęcona wytycznym wymiaru sprawiedliwości i praktyki sądowej.

W uchwale tej Sąd Najwyższy podkreślając obowiązki sądów przyczynia się do wychowywania obywateli w duchu moralności socjalistycznej, która wymaga poważnego stosunku małżonków do założonej przez nich rodziny. Sąd Najwyższy stwierdza jednocześnie, „że zasada trwałości małżeństwa nie może być jednak utożsamiana z formalną nierozzerwalnością węzła małżeńskiego, która ma źródło w nakazach dogmatu religijnego”.

Oceniając ujemnie zrywanie więzów rodzinnych, Państwo Ludowe nie może zarazem zamykać oczu na społeczną szkodliwość martwych związków małżeńskich i dlatego

odrzuca zasadę formalnej nierozzerwalności węzła małżeńskiego. Trwałość małżeństwa musi być osiągana poprzez świadomość społeczną małżonków oraz wynikający z niej poważny i odpowiedzialny stosunek do obowiązków względem rodziny.

Dalej w wytycznych czytamy, że „rozwód jest złem koniecznym, wprowadzonym w myśl interesu społecznego dla eliminacji innego zła społecznego, jakim będzie utrzymanie formalnego węzła małżeńskiego, gdy znikła wspólnota małżeństwa, gdy małżeństwo faktycznie nie istnieje i nie ma szans na dalsze jego funkcjonowanie”.

Prawnik

Staraliśmy się przedstawić w skrócie zasady nowego Kodeksu Rodzinnego i Opiekuńczego, w następnych odcinkach poinformujemy o innych zagadnieniach tego kodeksu.

Prosimy Czytelników o nadsyłanie pytań do redakcji związków z zagadnieniami poruszonymi w artykule.

Wytnij ten kupon.

Opisz dokładnie sprawę w liście do redakcji, a otrzymasz bezpłatną poradę prawną



Żywienie niemowlęcia

Najlepszym pokarmem niemowlęcia jest pokarm matki. Mleko kobiece bowiem zawiera nie tylko wszystkie składniki potrzebne do prawidłowego rozwoju dziecka, ale również tak zwane ciała odpornościowe, które chronią dziecko przed chorobami i zwiększają jego odporność na zakażenia. Statystyka wykazała, że śmiertelność wśród niemowląt karmionych piersią jest sześciokrotnie niższa niż wśród dzieci odżywianych od urodzenia sztucznie.

Kobieta karmiąca musi szczególnie dbać o higienę osobistą i ogólny stan zdrowia. Nie potrzebuje wypijać ogromnych ilości płynów, a tym bardziej piwa, co do którego upoczywie utrzymuje się przesąd, że ma dodatni wpływ na powiększenie się ilości pokarmu, ale powinna w co-

dziennej diecie uwzględnić 2—3 szklanki mleka, oraz surowki jarzynowe i owocowe. Nie wolno używać alkoholu w żadnej postaci, gdyż przedostaje się on do pokarmu i jest bardzo szkodliwy dla dziecka. Tytoń również szkodzi dziecku, jeśli więc bardzo trudno zupełnie rzucić palenie radzę przynajmniej ograniczyć ilość papierosów do minimum. Kobieta karmiąca dbać też musi o zdrowy, 8-godzinny sen, a w ciągu dnia tak sobie czas rozłożyć, by móc 1—2 godziny odpocząć w pozycji leżącej. Wypoczynek ma rzeczywisty wpływ na zwiększenie się ilości pokarmu. Spokój, pogodny nastrój, dobre samopoczucie psychiczne są również, jak i wypoczynek, cenne dla karmiącej matki.

W okresie karmienia należy bardzo ostrożnie przyjmować

wszelkie lekarstwa. Większość leków przechodzi do pokarmu, a wiele może być bardzo szkodliwych, lub wręcz trujących dla niemowlęcia. Gdy lekarz w tym okresie zapisuje jakieś lekarstwo powinno mu się zwrócić uwagę, informując o tym, że się karmi, by wiedział co może przepisać.

Niemowlę do końca 6—8 tygodnia życia karmi się 7 razy na dobę, czyli co trzy godziny uwzględniając od samego początku przerwę nocną. Karmić należy jednorazowo tylko zawsze z jednej piersi. Jeśli dziecko nie wysię wszystkie piersi należy po karmieniu pierś opróżnić całkowicie, ręką, lub specjalną „ściągaczką pokarmu”. Zalegający pokarm może powodować, bardzo bolesne, trudno się gojące i uniemożliwiające karmienie ropnie piersi.

Pomiędzy 6 a 8 tygodniem życia przechodzimy na karmienie co 3 i pół godziny, czyli 6 razy na dobę. W tym okresie zaczynamy podawać sok z marchwi pomiędzy godzinami karmienia zaczętną od jednej łyżeczki i powoli zwiększając ilość soku do 100 g na dobę, podawanych w 3—4 porcjach. Po pół roku, gdy

nasze niemowlę otrzymuje już posiłki stałe w postaci kaszki i jarzynki, karmi się je piersią 4 razy na dobę. Całkowicie odstawiamy od piersi dziecko po 8, lub 9 miesiącach życia. Nie powinno się jednak przerywać karmienia piersią w okresie dużych upałów, gdyż zmiana pokarmu może wywołać zaburzenia w trawieniu u dziecka.

Przy karmieniu piersią trzeba pamiętać od odpowiednim ułożeniu dziecka do karmienia. Główna musi być ułożona wyżej niż nóżki, okolicę brodawki przyciska się palcem, uważać trzeba, by dziecko nie zatykało sobie noska opierając się o pierś. Po nakarmieniu unosi się dziecko na chwilę do pozycji pionowej, gdyż często niemowlęciu odbija się połknięte w czasie karmienia powietrze, a potem układa się spokojnie w łóżeczku.

Zdrowe niemowlę ma 2—6 wypróżnień na dobę. Stolce powinny być żółtawe o konsystencji stałej. Jeśli stolce są luźne, zielone, ze śluzem i częstsze niż 6 na dobę, trzeba, nie czekając, zgłosić się z dzieckiem do lekarza.

dr ANNA MAŁUSZYŃSKA

KRZYŻÓWKA NR 8

POZIOMO: 1) uczeń seminarium duchownego, 4) zadośćuczynienie za popełnione grzechy 7) kuzynka pszczoły, 8) artysta-plastyk albo rzeźmieśnik, 9) szklivo pokrywające łeb, 10) częste biegni, 12) przyzwyczajenie, nalg, maniera, 15) kreci głowa, 17) część pneumatyka, 18) lyk, 20) lanca, spisa, 23) kończy każdą licytację brydżową 25) sesja, debata, 26) jednostka ilości elektryczności, 27) władca miasta we Francji, 28) kolejne miejsce na liście klasyfikacyjnej, 29) drzewo liściaste.

PIONOWO: 1) odmiana czerwieni, 2) pierwsza msza przed świtem w okresie adwentu, 3) wydatek, 4) wspólnik złodzieja, 5) rowerzysta, 6)

luk wsparty na dwóch podporach architektonicznych, 11) budynek gospodarski, 13) Cygan-ka z „Chaty za wsią” 14) ssak domowy, 15) ogród owocowy, 16) broń zmił, 18) domena Mer- kurego lub Hermesa, 19) nie jedna na szlaku kolejowym, 21) cecha dodatnia, przymiot, 22) kazałnica, 23) drzewo z kokosami, 24) surowiec garbarski.

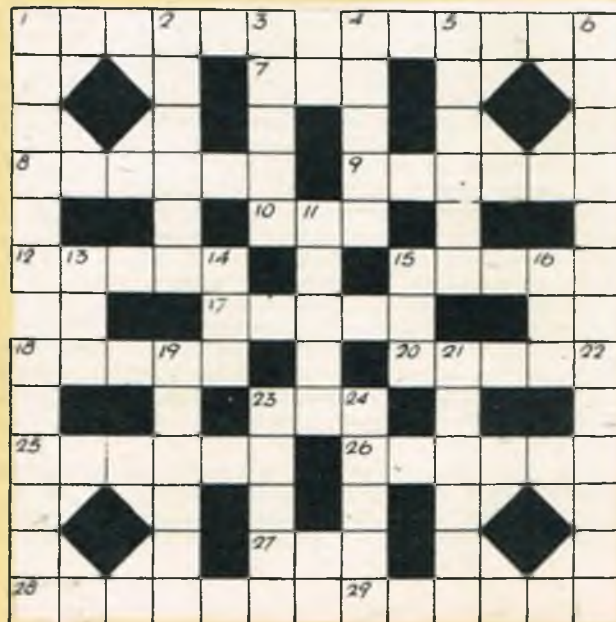
Rozwiązania należy nadsyłać w terminie 10-dniowym od daty ukazania się numeru pod adresem redakcji z dopiskiem: „Krzyżówka nr 8”. Wśród Czytelników którzy nadesłali prawidłowe rozwiązania, rozlosowana zostanie nagroda: książka.

ROZWIĄZANIE KRZYŻÓWKI NR 2

POZIOMO: 1. Metamorfoza, 12. Atak, 13. Kark, 14. Rower, 15. Hol, 16. Ordynek, 18. Olkusz, 19. Woda, 20. Kra, 22. Ma, 23. Me, 24. Mao, 25. Ac, 27. Jelonki, 28. Ty, 30. Taryfa, 33. Olka, 35. Ma- ta, 36. Sycylia, 38. Na, 39. Aron, 41. Omlet, 43. Od, 44. Tabory, 45. Nemo, 46. Ton, 47. Itaka, 48. Henryk, 49. Warno.

PIONOWO: 1. Mahomet, 2. Etola, 3. Talk, 4. AK, 5. Okrzej, 6. Rad, 7. Frywolny, 8. Okno, 9. Arka, 10. Kwoka, 11. Arba, 16. Osm, 17. Eden, 21. Rota, 24. Milimetr, 25. Ara, 26. Cytat, 28. Kolonia, 31. Amado, 32. Faraon, 34. Kaiman, 36. Snopy, 37. Czynn, 38. Nota, 40. Ob, 42. Eoka.

UWAGA CZYTELNICY! nagrodę książkową za rozwiązanie krzyżówki z nr 2 otrzymuje p. Tadeusz MECH z Kamiennej.





ceniu. Na włosach, jak na wszystkim innym gromadzi się kurz i pył i trzeba go usunąć. Bywa, że włosy chorują z braku powietrza: że cebulki włosowe, które je odżywiają, zamierają z braku dostępu tlenu, bo tak są pozatykane brudem, łupieżem, tłuszczeniem...

Codzienne czesanie włosów jest równie potrzebne, jak codzienne mycie skóry. Im delikatniejsze włosy, tym ostrożniej trzeba się z nimi obchodzić.

systematycznie — wstrzymują dalsze wypadanie włosów i łysienie.

Stabe włosy czesamy nie tylko miękką szczotką dziecięcą, ale i gęstym grzebieniem. Czesamy je od czoła do karku i od karku do czoła, codziennie, przynajmniej rano i wieczorem po 5 minut.

Zdrowe, normalne włosy czesamy po 5 minut, 2—3 razy dziennie, dwoma szczotkami z włosia lub szczotką i grzebieniem. Im włos jest twardszy, tym twardsza może

im żaden kosmetyk, widać, że włosy są zdrowe.

Im częściej czesane włosy, tym ładniej układa się fryzura. Są włosy, które spięte „na sucho” w odpowiednie fale czy loki na lokówkach, po pół godzinie rozczesane, wyglądają jakby wyszły od fryzjera. Inne uzyskują pożądaną układ, jeśli się je zmoczy a raczej lekko spryska wodą do włosów np. żeńszeniową lub inną, lub piwem i dopiero wtedy zawija na lokówki. Są też męczennice urody, które potrafią spać z włosami ponawianymi na dziesiątki lokówek. Dla włosów takie długie „męczarnie”, szczególnie gdy się włos zbyt mocno naciąga — też nie są korzystne.

Zgodnie z ostatnią modą można nareszcie dać włosom odpoczynek. Tzn. kazać je sobie przyciąć twarzowo, a potem tylko myć je często i czesać codziennie. (BELLA)

JAK CZESAĆ WŁOSY

Wielkim nieporozumieniem jest... nieczesanie włosów, bo zepsuje się drogocenną fryzurę zrobioną przez artystę grzebienia. Włosy tak samo jak... pierze w poduszce lubią być poruszane, odświeżane, szczególnie po nocnym gnie-

Łysiejącą skórę głowy masuje się palcami i czesze delikatnym, nie drapiącym skóry — grzebieniem. Czesze się miękką szczotką, nieomal taką jak do czesania niemowląt. W większości wypadków masaż głowy i czesanie miękką szczotką robione codziennie,

być szczotka — nawet nylonowa. Należy rozczesywać włosy na wszystkie strony, mocno przy tym szczotką masując skórę.

Dzięki szczotkowaniu mamy nie tylko czyste włosy, nie tylko lepiej rosną, ale i osiągają połysk, jakiego nie nada

DESERY

GORĄCE KREMY

Na zasadzie tego samego kremu podstawowego można zrobić dwa doskonałe gorące desery, świetne dla dzieci i dla dorosłych, a także i... niespodziankę dla gości, którą można podawać jako „specjalność domu”.

A więc najpierw przyrządzamy krem podstawowy:

1/3 litra mleka zagotować. 1 płaską łyżkę cukru utrzeć z 3 żółtkami, i pełną łyżkę mąki, 1 łyżeczkę cukru waniliowego, odrobinę soli. Dobrze utarte żółtka zalać wrzącym mlekiem, raz zagotować i od razu zdjąć z ognia.

3 białka ubić na bardzo sztywną pianę, taką co to ją można krajać nożem i co „stoi”. Wtedy dodać do piany łyżkę cukru i wymieszać, a następnie połączyć z masą ugotowaną na jednolity krem. I to jest właśnie ten krem podstawowy.

Z niego przyrządzimy deser kremowy lub suflet.

DESER KREMOWY

Foremki kamionkowe, żaroodporne, lub inne garnuszki wysmarować masłem i obsypać cukrem (miałkim lub pudrem). Napęlić je kremem do 3/4 wysokości i wstawić do szerokiego garnka czy rondla, do którego nalewamy gorącej wody, do wysokości połowy foremek. Woda wrze i gotuje nam krem na parze, ale nie dostaje się do niego. Garnek przykrywamy pokrywką, zostawiając szczelinę na uchodzenie pary. Woda powinna wrzeć, a raczej „pyrczeć” przez około 15—20 minut.

Krem można podawać z dżemem, konfiturą lub z sosem. 2—3 łyżki dżemu lub marmolady skrapiamy sokiem z cytryny i 1/2 szklanką białego wina: rozbełtujemy i rozlewamy na talerzyki, na które wykładamy porcyjki gorącego kremu.

Od razu podajemy, póki gorące.

SUFLET NA KREMIE

Jedno spore naczynie kamionkowe ze szkła żaroodpornego bardzo starannie smarujemy masłem i obsypujemy cukrem. Krem podstawowy dzielimy na połowę. Do jednej połowy kremu wlewamy łyżkę soku lub syropu wiśniowego — mieszamy i wkładamy do for-

my. Na to układamy 5 łyżek pokruszonych biszkoptów skropionych równie łyżką syropu wiśniowego. Na biszkopty kładziemy resztę kremu (drugą połowę), dbając o to, by w kamionce nie było kremu więcej, niż do 3/4 wysokości, ponieważ ten krem pięknie narasta.

Kamionkę z kremem wstawić do piekarnika na 25 minut i piec w średnio gorącej temperaturze (180 st. C). Natychmiast po upieczeniu podawać — w naczyniu, w którym się suflet piekł, bo ma tendencję do opadania. (i)



Lakier do paznokci służy...

... nie tylko do malowania paznokci, a nawet nieraz bardziej się przydaje do innych celów, jak np.

... usztywnienia końców sznurowadeł. Wieczorem — skrócimy sznurowadło na tym końcu z którego odpadła metalowa skuwka, zanurzymy je w lakierze do paznokci, a rano — sztywnym końcem zasznurowuje się bucik bez trudu.

... Podobnie można usztywnić mocną nitkę, na którą nawlekamy korale. Nie trzeba igły. Nawet przez najcieńsze otworki, najmniejszych ko-

ralików, taka usztywniona lakierem nitka łatwo wejdzie.

... Żeby oczko w pończosze dalej nie leciało, zanim je dasz do złapania, „złap” je na lep bezbarwnego lakieru do paznokci.

... Miałam czarną ramkę. Oprawiłam w nią fotografię, a ona w tej ramce wyglądała jak żalobne zdjęcie. Więc... pomalowałam ramkę bladym różowym lakierem do paznokci. Wygląda teraz wesoło i przyjemnie.

... Małeńkie dziurki we wsypach, przez które przedostaje się pierze, również można „zakleić” lakierem. Tutaj czerwoną lakier ma świetne zastosowanie.

... Srebrne i inne metalowe bransoletki (prócz złotych) mają brzydkie

zwyczaj brudzenia skóry rąk. Jeśli je jednak posmarować od spodu bezbarwnym lakierem, pozostawić na noc do wyschnięcia i nosić po tym „zabiegu” — przestają zostawiać ślady na ręku.

... Już sto razy przyklejało się nadartą skórę na obcasie bucika, a ona stale odstaje. Teraz, po przyklejeniu lub nawet bez przyklejenia — posmarujemy ją bezbarwnym lakierem do paznokci i pozwólmy jej zaschnąć. Obcasik będzie jak nowy.

Jeśli lakier zbyt gęstnieje — a potrafi to robić nawet w najszczelniejszej butelce — to trzeba go rozcieńczyć do pożądanego gęstości acetonem lub zwykłym „zmywaczem do paznokci”.

Lakier lubi chłód. Najlepiej przechowywać go w lodówce.



M
O
D
N
A

R
O
D
Z
I
N
K
A

Co to za równouprawnienie — powiedział mój syn — mama tylko pisze dla kobiet. Może by tak coś dla mnie...?

Stoi przede mną w starych dżinsach (tylko takie się liczą), w rozciągniętym granatowym swetrze (cały fa-son żeby nie robił wrażenia czystego...), w czarnych butach z cholewkami do połowy łydki.

— No cóż... jesteś przepisowo i modnie ubrany. Tak się ubiera młodzież całego świata...

— Ale nie wszędzie mogą chodzić w dżinsach. Takie lachy na co dzień to nie elegancja...

— Mylisz się. Nawet w dżinsach można wyglądać e-legantcko lub nie. Wiele znaczy sposób poruszania, swo- boda, naturalność i jednak... zdyscyplinowanie ciała... A czy wiesz, że ty sam o wiele lepiej wyglądasz w dżinsach niż w ciemnym garniturze? I nie tylko ty, ale wielu twoich kolegów. Dlaczego? Bo czujecie się „świę- tecznie“, ubrani „na niedzielę“, jakby powiedzieli Fran- cuzi, którzy śmieją się z niedzielnej elegancji. Właśnie dlatego, że tracie naturalność, swobodę ru- chów. Poza tym, jeśli chcesz być eleganckim, nie wolno ci nigdy sięgać po rzeczy „za“...

— Co to znaczy „za“?

— Za modne, tak jak z okładki żurnala, za krzykli- we barwy, za grubą desę, za krzyczące skarpetki. Sto- nowanie, wiesz? Żeby się nic nie rzucalo w oczy. Żeby było widać ciebie, a nie twój garnitur...

— Hm...

— A wasza moda męska jest bardzo, bardzo ładna i romantyczna. Tak, nosi cechy okresu romantyczności z ubiegłego stulecia. Proste ramiona, obcisłe marynar- ki... Wcięte w pasie. Powinieneś mieć takie jak dziew- czyna. Marynarki zapinane wysoko, klapki male. Dłu- gość różna, bo modne są i takie, które wyglądają jak króciutkie palt, lekko odstające na dole. Spodnie bar- dzo dopasowane w biodrach, w miarę wąskie, bez man- kietów. Bardzo modne marynarki z grubych tkanin w kratę do gładkich spodni. Moda sportowa ma tę zaletę, że zawsze jest modna... A do ciemnego garnituru mu- sisz nosić wysokie skarpetki. Nawet najzgrabniejsza noga męska nie może świecić łydką... Dlatego n i g d y nie podciągaj spodni siadając. K a t a s t r o f a... Wy- starczy?

— To ja już wolę chodzić w dżinsach...

ANNA BYLINA

Racjonalizator domowy

WISZĄCA DONICZKA

Konieczniew chciałam, aby mój zwisający kwiatek — roicissus zawisł u sufitu i pięknie, zieloną kaskadą liści, dekorował mi wnętrze. Wbicie haka w sufit już było trudnością, ale jakoś się z tym uporałam.

Najtrudniej było zawiesić tak doniczkę, aby można było ją podlewać i by woda na głowę nie kapala. Otóż włożyłam doniczkę do miski z plastiku — z polietylenu; to znaczy białawo-mętną, elastyczną jakby pokrytą parafiną. Rozgrzewałam gwóźdź, który trzymałam obciążkami. Gdy gwóźdź rozgrzany nad płomieniem gazu był już dość gorący, to kłułam nim w zaznaczone miejsca pod brzegiem miski i w ten sposób zrobiłam w niej 4 dziurki. Taki rozgrzany gwóźdź wchodzi w polietylen jak w masło.

Poprzez te dziurki i hak u sufitu prze- wlokłam żyłkę nylonową, taką nieco grub- szą. Znowu był kłopot z jej związaniem. Trzeba związać 2 razy na węzełek i bardzo mocno ten węzełek ściągnąć i przytrzymać. Najlepiej gdy ktoś w tej pracy pomaga. A następnie rozgrzewałam tak jak gwóźdź — szczypcę, a raczej obciążki o cienkim, długim zakończeniu. Rozgrzanymi obciążkami zgniatałam węzełek, a on jakoś się stapiał i już świetnie trzymał.

Ważne jest jednak, aby obciążki nie były zbyt gorące, bo stopią i „przetną“ żyłkę. Zbyt zimne — nie skleją jej, a więc trze- ba najpierw wypróbować na innej żyłce, czy temperatura obciążków już skleja wę- zełek, czy jeszcze nie. Tak samo „sklełam“ ten węzeł, który powstał przy haku. Wszy- stko świetnie się trzyma. Przy czym podle- wam kwiatek tak, że nalewam wody, tylko do miski, w której stoi doniczka. Miska jest dość głęboka, woda się nie przelewa i nie kapie. Miska jest ładna, zresztą pra- wie jej spod liści nie widać, tak samo jak prawie nie widać żyłek, na których mi- seczka z roicissusem jest zawieszona.

To tak ładnie wygląda, tak zdobi miesz- kanie, że zrobię to samo z paprotką w dru- gim pokoju i życzę wam, Drogie Czytel-niczki, abyście sobie i wy przystroiliły w ten sposób swoje mieszkania.

Dorota K.

Od Redakcji: A może i Wy, Drogie Czy- telniczki i Czytelnicy macie jakieś swoje pomysły racjonalizatorskie, ułatwiające prace domowe, czy też upiększające dom. — Prosimy, napiszcie! Wszystkie dobre pomysły będziemy drukować, a ich auto- rów, — nagradzać.

ZAPAROWANE OKULARY

Wchodzisz z zimna do ciepłego lo- kalu i... nic nie widzisz, bo szkła okularów pokryły się parą. Co ro- bić? Zdjąć, wyrzucić do sucha — czy nie ma innej rady?

Kropelkę gliceryny rozetrzyj po obu stronach szkła. Potem wypole- ruj je flanelką lub irczą. Taki za- bieg wystarczy, aby 1 do 3 dni szkła nie zaparowywały się tak la- two.

Jeszcze lepszy sposób, choć bar- dziej skomplikowany: 3 krople gli- ceryny, 7 kropli roztworu mydła i 3 krople terpentyny — razem wymieszać i tym roztworem przecierać szkła. Potem wypolerować.

Kamilla radzi

ZAPAROWANE SZYBY

1 łyżka gliceryny i 10 łyżek de- naturatu — wymieszać, przetrzeć szyby, wypolerować do połysku.

Inny sposób: 3 łyżki gliceryny wymieszać z 5 łyżkami płynnego mydła lub denaturatu (mydła syn- tetycznego w płynie np. „FF“, „Ko- kosal“ itp) i tym roztworem prze- trzeć szyby; następnie wypolerować suchą ściereczką do połysku.

W domu, pomiędzy szyby wsta- wić naczynie z solą. Sól wchłania wilgoć, a więc i szyby się nie zapa- rują.

MRÓZ NA SZYBACH

Jak zmyć mróz z wewnętrznych stron szyb? Przecierać je roztworem wody z solą. Na litr wody dać 3—5 łyżek soli. Potem przetrzeć do su- cha.

ROZMOWY Z CZYTELNIKAMI

Pan J. Kalisz z Krakowa. — W krótkiej odpowiedzi trudno ustosunkować się do wszystkich spraw, które Pan porusza w swym liście. Zajmiemy się więc tylko niektórymi z nich.

Dziwi się Pan, że nie znamy miejsc śmierci i grobów wielu męczenników i Świętych z pierwszego okresu chrześcijaństwa. Doprawdy, nie ma w tym nic dziwnego. Czy sądzi Pan, że prześladowcy dbali, żeby uwiecznić miejsce wiecznego spoczynku człowieka, o którym sądzili, że jest przestępcą lub głupcem. I dokładnych wykazów pogrzebowych na cmentarzu — jak obecnie — nie prowadzono. I często skrywano te groby przed okiem niewiernych. I — to też rzecz nie najdrobniejsza — od tamtych czasów wiele burz i zawieruch wojennych przeszło nad światem, które zmiotły z powierzchni ziemi, zasypały, zniszczyły wiele bezcennych pamiątek i pomników dawnej przeszłości.

Pyta Pan następnie, dlaczego w Krakowie nie ma okazałych świątyń Kościoła Polskokatolickiego. Powinien Pan wiedzieć, że nie tylko w Krakowie. Te, które są — są skromne, małe, ubożuchne. Nie korzystano z fundacji wielmożów, z testamentów bogaczy, ze skarbów przez wieki nagromadzonych. Ot po prostu — biedny Kościół biednych ludzi. Siła Kościoła nie polega na wspaniałości świątyń, na okazałości gmachów, na zdobnych szatach kapiących od złota. Najsilniejszym i najwspanialszym jest ten Kościół, który w duszach ludzkich potrafił założyć mocne fundamenty, wszczepić silne przekonania, nauczyć żyć po bożemu. Świątynie — nawet te, które są, może są jeszcze aż nazbyt wspaniałe. Wszak Jezus urodził się w stajni.

Proszę sobie przeczytać wiersz K. H. Rostworowskiego, który zamieściliśmy w jednym z numerów „Rodziny”, proszę zastanowić się nad jego treścią, znajdzie tam Pan odpowiedź, czego od nas żąda na sianie w szpie urodzony Bóg.

Sprawę ordęzia biskupów polskich do biskupów niemieckich omawialiśmy już niejednokrotnie. Społeczeństwo wie, co sądzić o tym fakcie. Pewnie nie raz jeden jeszcze przyjdzie nam do tych spraw powracać.

Pan Stefan, Brzeziny. Czujemy się w obowiązku wyjaśnić Panu, że nie mamy zamiaru atakować ani Kościoła rzymskokatolickiego, ani ks. kardynała Wyszyńskiego, jako biskupa (sprawa jego polityki — to odrębne zagadnienie), ani prowadzić walki religijnej o dusze ludzkie. Nie chcemy być ani pismem dewocyjnym, ani misyjnym. Nasze zamiary są bardzo skromne. Chcemy pomóc Czytelnikom oceniać przejawy współczesnego życia (zarówno indywidualnego, jak i społecznego, politycznego przy pomocy zasad katolickich, chcemy, aby nasz Czytelnik (będąc — przynajmniej w większości wypadków — człowiekiem religijnym) nie zamykał swej religijności w szufladzie komody razem z książeczką do nabożeństw, żeby nie odwlekał jej na bok razem ze świętecznym

ubraniami, żeby nie składał w kąciaku po odmówieniu pacierza, ale żeby tę religijność niość przez życie, jak niesie kobieta pożyczoną od sąsiadki garść węgla (bywało tak dawniej na wsi) i żeby od niej zapalał swoje myśli, żeby kształtował w jej ciepłe swoje czyny, żeby przy pomocy tego ognia przetwarzał całą swą działalność. Chcemy, żeby nasze pismo inspirowało, dawało zachętę, uczyło, wskazywało drogę, pomagało i bawiło.

Czy oznacza to, że przekonaliśmy się do Kościoła rzymskokatolickiego — jak Pan to określa — i do kardynała Wyszyńskiego? Sprawa jest nieco bardziej złożona i nie można wyjaśnić jej w jednym zdaniu. Ceniśmy Kościół rzymskokatolicki jako Kościół chrześcijański, jak ceniemy wszystkie Kościoły chrześcijańskie. Ale pragniemy podkreślić jednocześnie, że nie lekceważymy żadnej społeczności religijnej (a więc i niechrześcijańskiej), że ceniemy wszystkich ludzi, którzy posiadają swoje przekonania i według tych przekonań układają swoje życie. Przecież Pan rozumie, że przynależność do tego czy innego Kościoła, to najczęściej kwestia przypadku, nie Pan zdecydował o swoim narodzeniu w Kościele rzymskokatolickim. Ważne jest to, jak człowiek sam, korzystając już z praw swego umysłu ustosunkował się do wierzeń, do światopoglądu, z którym się zetknął i jak ten świadomie przyjęty światopogląd w życiu reprezentuje.

Nieraz jeszcze będziemy piętnowali błędy, wady, występki, zło i podłość. I u biskupów i u kardynałów i w Kościołach. Zjawiska te nie są związane z istotą Kościoła, ani jakkolwiek godnością kościelną. Powiedzmy więcej — tam nie ma dla nich miejsca. One muszą stamtąd zniknąć. Im prędzej, tym lepiej. I kto jak kto — ale w pierwszym rzędzie katolik powinien się starać, aby je stamtąd wyrugować. Aby jego Kościół był Kościołem bez skazy. Aby jego biskup, był człowiekiem nienagannym. To jest krytyka cenna. Równie cenna jak modlitwa, bo oczyszcza atmosferę, niszczy podłość i fałsz.

Czy takiej krytyki może się wyrzec pismo, które chce walczyć o tak pojętą prawdę katolicką.

Serdecznie pozdrawiamy.

Pani M. Łęka — Duża część Czytelników bardzo sobie ceni rubrykę „Rozmowy z Czytelnikami”. Pani tymczasem uważa, że są to rzeczy niepotrzebne, plotki, wymysły naszych przeciwników itd. Niestety, nie możemy zgodzić się z Pani stanowiskiem. Bardzo cenimy listy Czytelników i rozmowy z nimi. Każdy, kto chce z nami rozmawiać, jest naszym przyjacielem, niezależnie od tego, czy się z nami zgadza czy nie. Dialog może doprowadzić do szczerzej przyjaźni, jest wyrazem pewnego zaufania, a ludzie, którzy nie chcą ze sobą rozmawiać, gotowi są rzucić na siebie kamieniami, a często nawet strzelać do siebie. Lepiej porozmawiajmy,

droga, Pani, rzymskokatolicy też są katolikami, a niewierzący też są ludźmi.

Sprawę dalszych rubryk religijnych — rozważamy.

Stały Czytelnik PS — Kraków — Jest Pan przekonany, że księża nie powinni się żenić i wymienił Pan różne argumenty, uzasadniając Pańskie przekonanie. Nie mamy potrzeby dyskutować nad tym problemem. Są argumenty za, są i przeciw. Jedni wolą księdza żyjącego przykładnie z rodziną (z żoną, z dziećmi), inni chcą widzieć samotnika, sądząc, że wtedy obowiązków duszpasterskich zaniedbywał nie będzie. W Kościołach chrześcijańskich sprawa ta wygląda różnie.

Na temat celibatu księży w Kościele rzymskokat. wiele dyskutowano w czasie II Soboru Watykańskiego. M. in. wygłosił odczyt bp francuski Ancel. Mówił też na ten temat kardynał holenderski Alfrink. Ten ostatni mówił m. in. „Ojciec święty nie wyklucza utworzenia takich grup duchownych, w których dopuszczalne byłoby zawieranie małżeństw, ale tylko w niektórych krajach”.

Katolickie czasopismo angielskie (Time) przypominało: „...grupa włoskich księży zwróciła się do papieża z prośbą o zwolnienie ich z celibatu, dowodząc, że jest to „nieznośny ciężar” oraz, że celibat nie opiera się ani na Piśmie św., ani na prawie naturalnym. Podobną prośbę wysłało niedawno do Rzymu trzydziestu trzech księży brazylijskich, którzy zapewniają, że mają poparcie setek swoich konfratrów”.

Amerykański miesięcznik kat. opublikował ankietę, z której wynika, że na 500 księży Kościoła rzymskokat. tylko trzecia część wypowiedziała się za celibatem.

P.S. spośród Apostołów św. Piotr był na pewno żonaty.

Odpowiedzi na zagadnienia teologiczne udzielimy innym razem.

Stary weteran — Dziękujemy za życzenia, ale Pańskich pesymistycznych poglądów na temat współczesności nie podzielamy.

Pani Bożena B. z Nowego Dworu: Z przykrością dowiadujemy się, że Świadkowie Jehowy rozbili Pani małżeństwo. Pod ich wpływem mąż porzucił Panią z czteromiesięcznym dzieckiem. Nie chce się wierzyć, że fanatyzm wyznaniowy można posunąć tak daleko.

Jeżeli jest rzeczą pewną, że mąż nie wróci do Pani, że małżeństwo zostało kompletnie rozbite, wolno ubiegać się o prawne rozwiązanie małżeństwa. Należy w tym celu złożyć podanie w sądzie powiatowym. Po otrzymaniu rozvodu cywilnego można się zwrócić do Sądu Kościelnego Kościoła Polskokatolickiego w Warszawie (ul. Wilcza 31) z prośbą o rozpatrzenie sprawy. Należy dołączyć odpis wyroku sądu powiatowego.

Kościół Polskokatolicki podkreśla potrzebę nierozzerwalności małżeństwa i rodziny, jeżeli jednak małżeństwo zostało rozerwane, Kościół — wybierając zło mniejsze — godzi się na stwierdzenie smutnego faktu rozbicia rodziny i pomaga stronie niewinnej rozpocząć z Bogiem życie małżeńskie w nowej rodzinie. Opieramy się przy tym na pouczeniu Chrystusa, który powiedział, że wolno „oddalić” żonę „w wypadku nierządu” (Mat. 19, 9) oraz na pouczeniu Ap. Pawła, który pisał „lecz jeśliby strona niewierząca chciała odejść, niech odejdzie. Nie jest skępowany ani brat, ani siostra w tym wypadku. Albowiem do życia w pokoju powołał nas Bóg” (I Kor. 7, 15). Pozdrawiamy.

Wydawca: Instytut Wydawniczy „Odrodzenie”. Redaguje Kolegium. Adres Redakcji i Administracji: Warszawa, ul. Wilcza 31. Tel. 26-97-04; 26-26-61. Warunki prenumeraty: Prenumeratę na kraj przyjmują urzędy pocztowe, listonosze oraz Oddziały i Delegatury „Ruch”. Można również dokonywać wpłat na konto PKO Nr 1-4-100020 - Centrala Kółportażu Prasy i Wydawnictw „Ruch”. Warszawa, ul. Wronia 23. Prenumeraty przyjmowane są do 10 dnia miesiąca poprzedzającego okres prenumeraty. Cena prenumeraty: kwartalnie - 26 zł, półrocznie - 52 zł, rocznie - 104 zł. Prenumeratę na zagranicę, która jest o 40% droższa - przyjmuje Biuro Kółportażu Wydawnictw Zagranicznych „Ruch”. Warszawa, ul. Wronia 23, tel. 26-46-62, konto PKO Nr 1-4-100024. (Roczna prenumerata wynosi: dla Europy 78, 19,70 DM, 21,40 NF, 1.124 L; dla St. Zjednoczonych i Kanady 78; dla Australii 1.105 L.A. 20,4 LE). Można również zamówić prenumeratę, dokonując wpłaty na konto Instytutu Wydawniczego „Odrodzenie”: PKO Nr 1-4-147299. Nie zamówionych rękopisów, fotografii i ilustracji redakcja nie zwraca.

Zakłady Włókiendrukowe BSW „Prasa”, Warszawa, ul. Okopowa 58/72. T-35. Zam. 216.



1



2



Zdj. 1 i 2 — Barokowy pałac przebudowany w XVIII w. z dawnego zamku Chodkiewiczów oraz brama-dzwonnica z 1752 r.

Zdj. 3 — zespół poklaszternych budynków, w których w roku 1831 powstała pierwsza w Supraślu fabryka włókiennicza wyrabiająca sukno.

Zdj. 4 — mury domu tkaczy z XIX w. oznaczony krzyżykiem

Zdj. 5 — skryte wśród lasów i zieleni miasteczko...

SUPRAŚL

Naczej niż obecnie powstawały miasta w dawnych wiekach: przy dworze czy zamku magnackim budowano kościół albo klasztor, w pobliżu tych budowli osiadało kilku potrzebnych dworowi rzemieślników. Tak tworzyła się osada. Jeżeli miała szczęście leżeć na szlaku handlowym szybko się rozwijała, a gest króla czy księcia podnosił ją do rangi miasta. Podobny rodowód ma 2 i pół tysięczne miasteczko leżące w województwie białostockim — Supraśl, które nazwę swą wywodzi od rzeczki przepływającej w pobliżu.

W 1500 r. zamieszkiwał tu w okazałym zameczysku ród Chodkiewiczów. Wokół rozpościerała się puszcza Błudowska i Kryńska. Bazylianie, sprowadzeni przez Chodkiewiczów, postawili tu klasztor. W XVII wieku zakonnicy założyli drukarnię, w której wydano wiele dzieł w języku cerkiewno-słowiańskim, a w XVIII wieku metropolita Leon Kiszka — założył papiernię. W XVII wieku bazylianie przystąpili do unii, a w latach 1795—1807 powstała siedziba biskupów unijnych, utworzona przez papieża. W 1807 r. Supraśl przyłączono do Rosji, dobra klasztorne uległy konfiskacie, a drukarnię przeniesiono do Białegostoku. W 1830 r. skonfiskowane dobra wydzierżawił Wilhelm Zachert, który w 1834 r. założył tu fabrykę włókienniczą. Od tego momentu miasteczko poczęło się rozwijać w ośrodek przemysłowy. W 1857 r. było już 7 zakładów, w których pracowało 1019 osób. Największą liczbę mieszkańców Supraśla notowano w r. 1878. Ale już z końcem XIX wieku i początkiem XX miasto podupadło, by ponownie dźwigać się w okresie międzywojennym.

Dobrze prosperował przemysł włókienniczy, drzewny, młynarski. Pracowało w nim 871 osób.

Druga wojna światowa, zostawiła swe ślady także w Supraślu. Miasteczko zniszczone zostało w 15%, zniszczony został także niewielki przemysł, oraz zabytkowa pobazylińska cerkiew.

Dziś miasteczko leżące o 16 km od Białegostoku, pełni rolę satelity w stosunku do północno-wschodniej metropolii.



3



4



5